NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata w Polsce: Kwartalnie 370·50 Marek, Półrocznie 741·— Mk. Rocznie 1482·— Mrk. Ameryka: 8 dolarów rocznie. Numer pojedynczy 15 centimów.

Zmiana adresu 1 Markę.

Ceny ogłoszeń: za wiersz petitowy jednoszpaltowy na ostatniej stronie 10 Mp., na miejscu specyalnie zastrzeżonem Mp. 15·—, za wiersz nonpareilowy, jednoszpaltowy 20 Mp., za wiersz petitowy w części redakcyjn. 30 Mp.

Wychodzi każdej soboty.

REDAKCYA i ADMINISTRACYA: KRAKÓW XV. ulica Kazimierza Wielkiego L. 95 (dom własny). Telefon Nr. 472.

Naczelny i odpowiedzialny redaktor: Julian Bartoszewicz.

Wyłączne zastępstwo na Lwów: KAROL BUCHSTAB, Biuro dzienników — Lwów, ul. Legionów 21.

W Warszawie do nabycia wszędzie. „Promień", Łódz, Piotrkowska 81.

Należytość pocztowa opłacona ryczałtem. Numer pojedynczy 30 Marek.

Rok XVIII. Kraków, 13 sierpnia 1921. Nr. 33.

Straszna klęska głodowa w Rosyi



Zgłodniałe tłumy z gubernii nadwołżańskich, ciągnące w stronę Moskwy, rozszarpują mięso konia.

Straszna klęska głodowa w Rosyi.

(Do illustracyi tytułowej).

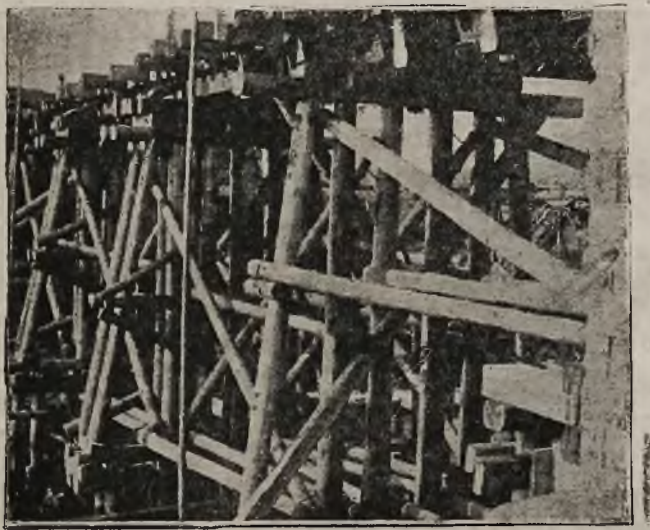
Rosya nawiedzona została straszliwą klęską głodową, która dotknęła najurodzajniejsze okolice, to jest gubernie nadwołżańskie, będące dotąd spichrzem zaopatrującym kraj cały w żywność, a nawet do starczającym jej na wywóz za granicę. Błogosławione rządy bolszewickie i uszczęśliwiająca ludność gospodarska sowietów zrobiły swoje. Bogate niegdyś okolice z roku na rok popadały w coraz to większą nędzę, ludność miejscowa siała tylko tyle zboża, ile go potrzebowała na własne wyżywienie, nie mogąc się pogodzić z tem, że owocem swej krwawicy ma karmić polítykujących próżniaków, reszty dokonała tegoroczna posucha, niszcząc doszczętnie zasiewy. Miliony ludzi, niegdyś dostatnich, znalazło się w przededniu głodowej śmierci, mając jedynie spaloną trawę i korę drzew na zaspokojenie głodu, a instynkt samozachowawczy kazał im szukać ratunku tam, gdzie spodziewali się znaleźć zapasy żywności. Milionowe rzesze zgłodniałych pociągnęły zatem w kierunku miast dążąc w stronę Moskwy, aby u swych obecnych władców żądać chleba, a w ślad za nimi pociągnęli nieodzowni towarzysze głodu, cholera, tyfus i czerwonka.

Rząd sowiecki znalazł się w krytycznem położeniu. Ratunku szukać można było tylko za granicą, głównie zaś w Ameryce, która jednak uzależniła udzielenie pomocy od zniesienia dotychczasowej bolszewickiej dyktatury i dania ludowi możności wypowiedzenia się, czy obecna forma rządów odpowiada jego żądaniom. Na to czerwoni tyrani zgodzić się nie mogli, gdyż wytrąciłoby to berło rządów z ich ręki. Lenin z bardziej umiarkowanymi swymi stronnikami godził się już na wprowadzenie w życie rządu koalicyjnego, w skład którego wchodziliby przedstawiciele wszystkich partyi socyalistycznych, sprzeciwił się temu Trocki, wysyłając przeciw ciągnącym ku stolicy zgłodniałym masom czerwone wojska, sądząc, że w ten sposób zdoła je powstrzymać. One jednak nie robią sobie nic z kul i bagnetów i prą ciągle naprzód, część ich kieruje się ku granicy, spodziewając się u sąsiadów znaleźć ratunek i ocalenie. Ta wędrówka głodującego ludu rosyjskiego jest na rękę Trockiemu i jego zwolennikom, zagraża bowiem w pierwszej linii swym zalewem Polsce. Czego więc nie zdziałały w roku ubiegłym zastępy czerwonej armii, tego dokonać może zgłodniała czerń, której żadna siła powstrzymać nie będzie wstanie.

Katastrofa głodowa, która rozpoczęła się już przed kilku laty, doszła obecnie do punktu kulminacyjnego, dając się odczuć na całem terytoryum państwa. Ceny artykułów żywności dochodzą po miastach do niebywałej wysokości, głodująca ludność nie cofa się przed żadnym aktem gwałtu, byle dobyć dla siebie jakieś pożywienie. Rabunki i grabieże są na porządku dziennym, a rząd bolszewicki nie może znaleźć środka, ażeby położyć kres temu rozpaczliwemu stanowi, mogącemu mu bardzo łatwo zgotować ostateczną zagładę. Przeciw temu broni się półśrodkami nie wiodącemi jednak do celu.



Odznaczenie bohaterów: Dekoracya oficerów 25. pułku piechoty na Rynku miechowskim.



Z wycieczki dziennikarskiej na wschodnie kresy: Most na Berezynie na linii Lida—Mołodeczno, odbudowany przez 10 batalion kolejowy.

Z wycieczki dziennikarskiej na wschodnie kresy.

Na zaproszenie jenerała Rydza-Smigłego wzięli udział przedstawiciele prasy polskiej w wycieczce na wschodnie kresy naszego państwa, ażeby się zapoznać z tamtejszymi stosunkami i wejść w bezpośredni kontakt z miejscową ludnością, która w ciągu obecnej wojny przeżyła tak straszne losy. W wycieczce wzięło udział trzynastu dziennikarzy z Krakowa, Lwowa, Poznania i Warszawy, a punktem jej wyjścia była Lida, skąd po powitaniu przez przedstawicieli wojskowości, władz cywilnych i mieszkańców, ruszono w dalszą drogę wzdłuż granicy polsko rosyjskiej, zwiedzając wszystko co mogło budzić pewne zainteresowanie i zbaczając także do Wilna.

Z wycieczki swej, trwającej dni czternaście, wynieśli przedstawiciele prasy polskiej sporo wrażeń, któremi dzielą się z czytelnikami w swych pismach, stwierdzając na ogół, że życie w tych okolicach zaczyna powracać na normalne tory, a ludność okazuje żywą radość z uwolnienia się od jarzma bolszewickiego i z połączenia się z Polską. Tu i ówdzie spotkano się z słusznemi narzekaniami, że traktat w Rydze przyznał bolszewikom obszary zamieszkałe prawie wyłącznie przez ludność polską, że zatem z naszej strony zaniedbano wiele, co bardzo rozgoryczyło mieszkańców, czujących się Polakami i pragnących ścisłego połączenia z resztą kraju.

Członków wycieczki przyjmowano wszędzie nadzwyczaj owacyjnie i serdecznie, widząc w tem zapowiedź, że naród polski pragnie się szczerze i serdecznie zająć dolą swych kresowych braci, odnoszono się do nich z ufnością, na ich ręce składano żale i żądania w tej nadziei, że prasa poprze je skutecznie. W powitaniu gości brała żywy udział nie tylko ludność z tej strony kordonu, pomimo silnego obsadzenia granicy zjawili się także przedstawiciele polskich gmin, przyznanych Rosyi.

Częściowo koleją, częściowo drogą kołową zwiedzono spory szmat naszego północno-wschodniego pogranicza, zostającego pod opieką armii jenerała Rydza Smigłego. Głębokie wrażenie wywarło na uczestnikach wycieczki Wilno, okolice Nowogródka, miejsca urodzenia i dzieciństwa Mickiewicza, nędzę naszych naszych uchodźców mieli sposobność oglądać na własne oczy w obozie w Baranowiczach, widzieli też ślady zniszczenia, jakie pozostawiły po sobie siedm lat wojny.

Z uznaniem podnoszą uczestnicy wycieczki kulturalną działalność naszej drugiej armii w tych stronach. Korzystając z chwilowego spokoju cały wolny czas poświęcają członkowie naszej armii wytężającej pracy na polu oświatowem i gospodarczem, a skutki jej są już dzisiaj widoczne. Między żołnierzem polskim, a miejscową ludnością wytworzyło się zgodne i przyjacielskie współżycie, które musi wyjść na korzyść naszej sprawie. Ludność pozbyła się powoli wobec nas tej nieufności, jaką starali się w nią wpoić nasi wrogowi. O działalności kulturalnej naszej armii w tych stronach świadczą nie czcze słowa, lecz przekonywujące cyfry, które wykazują, że w ciągu niespełna roku armia jenerała Rydza-Smigłego zorganizowała około 400 kursów dla analfabetów, półanalfabetów, tudzież kursów elementarnych.

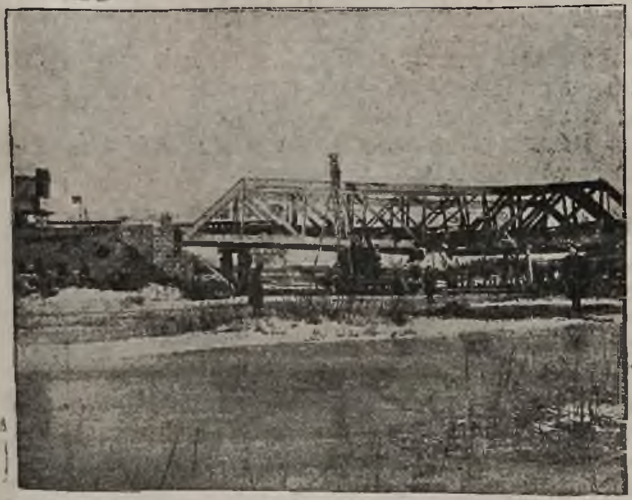




Żołnierze osadnicy pracują przy wyrobie cegieł na własne domostwa. **Z wycieczki dziennikarskiej na wschodnie kresy:** Oficer orzący ugory w kolonii żołnierskiej.

Poklasku jest również godnym udział wojska w staraniach nad rozwojem fizycznym także cywilnej młodzieży, zareprezentowany członkom wycieczki w formie popisu gimnastycznego w ruinach zamku Gedymina w Lidze.

Organizowanie wyszkolenia personalu nauczycielskiego na użytek wojska, dbałość o rozwój bibliotek wojskowych, których armia jenerała Rydza-Śmigłego posiada 223 o liczbie 95 tysięcy książek, a dalej utworzenie 4 teatrów, 31 klubów sportowych, 21 chórów, 162 świetlic zaopatrzonych w gazety, czytelnie i różne godziwe rozrywki, świadczy o dobrej i rozumnej woli rozciągnięcia należytej pieczy nad żołnierzem.



Z wycieczki dziennikarskiej na wschodnie kresy: Most na rzece Serweczu pod stacyą Budsław, na szlaku Mołodeczno—Królewszczyzna, odbudowany siłami 10. batalionu kolejowego.

Tworzenie współdzielni żołnierskich i oficerskich, oraz hurtowni, obracających już dzisiaj milionami, z których jedna zakupiła już grunta nad Bałtykiem, w okolicach Gdyni, na założenie domu zdrowia dla wojskowych, stanowi także poważny krok w kierunku uobywatelnienia naszego żołnierza. Jako specyalną zasługę poczytać należy popieranie ruchu kooperatywnego wśród ludności cywilnej, w ten sposób bowiem armia splata się w jedno z całem miejscowem społeczeństwem i staje się dla całego kraju czynnikiem postępu i dobrobytu. — Specyalna wzmianka należy się naszym wojskom kolejowym, z pośród których tylko dwie formacye wojskowo-kolejowe (Baon X. i IV), przerzuciły łącznie aż po dzień dzisiejszy 1298 mtr. toru kolejowego, wybudowały mostów na liniach kolei normalno torowych o łącznej długości 3166 mtr., wąskotorowych 950 mtr., uruchomiły kolejek wąskotorowych 175 klm., wybudowały nowych kolejek 89 klm., odbudowały 19 stacyi wodnych, a na kolejkach wąskotorowych dziesięć.

Szczera podzięka należy się zasłużonemu szefowi kolejnictwa, którym jest major Alfred Spett z Bystrej, w Bialskim pow., tudzież żołnierzom, pracującym często w trudnych warunkach, w okolicach, gdzie chronicznie panuje malarya.

Prowizoryczne te mosty, obliczone na okres jakich 15 lat, n. p. most na Wace, stanowią arcydzieła budownictwa wojskowego.

Słowa pochwały i uznania należą się też polskiemu Czerwonemu Krzyżowi działającemu na terenie armii drugiej i jego pełnomocnikowi panu Nowakowskiemu, spełnia on chlubnie nietylko to wszystko. co należy do zakresu jego działania, wywiązuje się nietylko ze swych zadań wobec wojska— ale stara się nieść pomoc ludności cywilnej, zwłaszcza tam—gdzie epidemie czynią spustoszenia.

Baczną uwagę zwrócono również na osadnictwo wojskowe na wschodnich kresach. Zwiedzono dokładnie powstałe już kolonie i zapoznano się z ich życiem. Wschodnie nasze granice zyskują w ten sposób nietylko obrońców gotowych w każdej chwili na zawołanie, ale także i pionierów racyonalnej gospodarki, na tych urodzajnych, a dotąd częściowo odłogiem leżących obszarach. W jednej z nich, Ratkowie, spotkali się uczestnicy wycieczki z Krakowianinem, porucznikiem Janem Axentowiczem, synem naszego znanego artysty malarza, jej organizatorem i kierownikiem. Żołnierze naszych spotkano przy pracy rolnej, z którą wiążą obecnie losy swojego życia.

Pod znakiem reformy agrarnej.

Reforma agrarna, której przeprowadzenie uważać należy za zwycięstwo Stronnictwa ludowego i bardzo ważny atut w jego rękach przy najbliższych wyborach, to sprawa, zajmująca dzisiaj całą opinię publiczną. Ludowców w staraniach przy jej przeprowadzeniu poparli bardzo wydatnie socyaliści, działając w ten sposób na niekorzyść swych wyborców, zgromadzonych po miastach i w większych środowiskach przemysłowych, którzy przeprowadzenie jej w tym duchu, w jakim ją uchwalono. odczuć muszą bardzo dotkliwie. Aprowizacya tych miejscowości ucierpieć musi z tego powodu bardzo poważnie, gospodarka bowiem rolna na małych obszarach nie może być tak intenzywnie prowadzoną, jak na wielkich kompleksach. Przeprowadzenie reformy agrarnej napotyka też na poważne trudności natury finansowej, których skarb nasz obecnie pokonać nie jest w stanie.



Pod znakiem reformy agrarnej: Poseł dr. Kiernik, prezes Głównego Urzędu Ziemskiego.

Ale ludowcy nie mogli spocząć, dopóki na swojem nie postawią, bo i jakże stanęliby wobec swych wyborców, którym przyobiecali, że dadzą im ziemię.



Znowu wybuch na Górnym Śląsku: 1) Część budynków fabryki prochu w Krywałdzie, po wybuchu. 2) Ruiny magazynów fabrycznych. 3 i 4) Pogrzeb ofiar katastrofy.



Znowu wybuch na Górnym Śląsku: Uszkodzony skutkiem wybuchu w Krywałdzie las, znajdujący się w pobliżu fabryki prochu.

Dokładali też wszelkich starań, aby przeprowadzić uchwałę w myśl swych żądań, nie zważając bynajmniej na to, że gospodarka krajowa musi z tego powodu poważnie ucierpieć. Polska, choć uchodzi za kraj rolniczy, nie może dzisiaj pokryć swych zapotrzebowań w tym kierunku i musi sprowadzać zboże z za granicy, daleko gorzej będzie, gdy reforma przeprowadzoną zostanie w myśl brzmienia ustawy sejmowej.

Z osobistych względów postarali się też ludowcy o to, aby kierownictwo Głównego Urzędu Ziemskiego, mającego się zająć jej wprowadzeniem w życie, znalazło się w ich rękach i w tym celu, przy układaniu „klucza partyjnego“, zrzekli się niektórych korzyści na rzecz innych stronnictw, byle to kierownictwo zatrzymać dla siebie.

Obecnie kierownikiem Głównego Urzędu Ziemskiego zamianowany został jeden z najwybitniejszych członków partyi ludowej, dr. Kiernik, kilkakrotnie już wspominany jako kandydat do objęcia różnych ważnych posterunków z ramienia tegoż stronnictwa. Dotychczas dał się dr. Kiernik poznać jako jeden z najczynniejszych P. S. L., w sferach poselskich uchodzi za świetnego organizatora, mocodawcy jego wiele też liczą na jego energię przy przeprowadzeniu reformy agrarnej.



Czoło konduktu pogrzebowego.



Pogrzeb majora Montalegre: Karawan obwieszony wieńcami, laweta ze zwłokami zamordowanego i jego koń.

Odznaczenie bohaterów.

(Do illustracyi na stronie 2.).

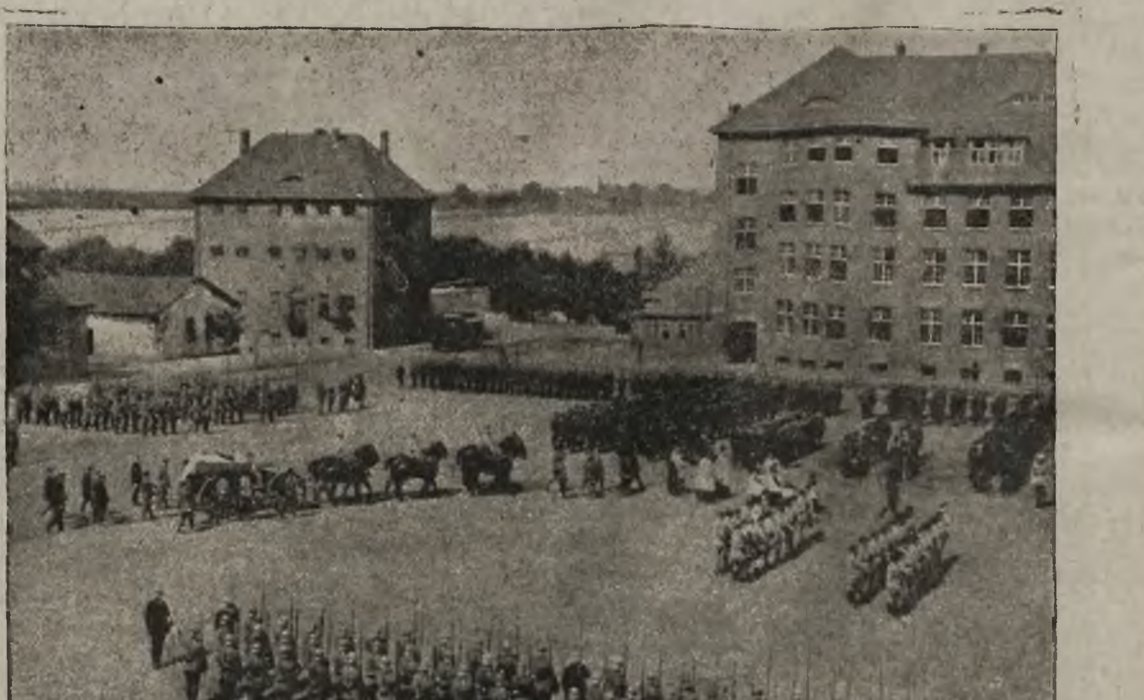
Nie bardzo pomylił się ten, kto powiedział, że każdy Polak to urodzony żołnierz, a każdy żołnierz to bohater. Członkowie naszej armii złożyli tego dowody na wszystkich frontach, zbierając też zasłużone uznanie tak władz przełożonych, jak i całego społeczeństwa, wiedzącego dobrze, co im ma do zawdzięczenia. W każdym oddziale wojskowym nie brak też odznaczonych krzyżami *Virtuti militari* i *Krzyżami walecznych*, za okazane męstwo i bezgraniczne prawie poświęcenie. Te odznaki honorowe zdobyli sobie krwią i trudem na polu walki wskrzeszając dawne świetne tradycye polskiego oręża, wprawiając w podziw świat cały.

Dekoracya odznaczonych za męstwo oficerów i żołnierzy to święto dla całej formacyi, do której należą, czy to pułk, czy batalion, zarazem także i dla tej okolicy, z której oddział ten się rekrutuje. Podobne uroczystości urządza się też z całą okazałością, aby w ten sposób uczcić odznaczonych, a zarazem zachęcić innych, by wstępowali w ich ślady.

Podobne święto obchodził w ubiegłym miesiącu 25 pułk piechoty stojący załogą w Miechowie, a pochodzący z Ziemi kieleckiej.

Dekoracya oficerów tegoż pułku *Krzyżem walecznych* odbyła się w Miechowie na rynku przy współudziale całego garnizonu miechowskiego oraz licznie zebranej publiczności. Dokonał jej Dowódca 25 pp. podpułkownik Mielnik, wygłosiwszy okolicznościową mowę, w krótkich żołnierskich słowach dziękując dekorowanym bohaterom w imieniu Służby za położone zasługi, poczem wszystkie oddziały miejscowego garnizonu przedefilowały przed dekorowanymi, a następnie, dekorowani przed dowódcą pułku. W czasie defilady dekorowanych, licznie zebrana publiczność entuzyastycznie oklaskiwała swoich bohaterów.

Zaznaczyć wypada, że ogółem w pułku odznaczonych zostało dotychczas orderem *Virtuti militari* 28, a *Krzyżem walecznych* 94, co świadczy bardzo chlubnie o męstwie oficerów i żołnierzy tego pułku i sumiennem pojmowaniu i pełnieniu swych ciężkich obowiązków na pożytek kraju i chwałę Białego Orła, pod którego służą znakami.



Pogrzeb majora Montalégre. Kondukt pogrzebowy ofiary pruskiego barbarzyństwa na Rynku bytomskim w drodze do kościoła św. Trójcy.

PIOTR MARIAGER.

Za szczęśliwi.

(Opowiadanie z przeszłości).

Pewnego letniego dnia widziano u wschodniego cypla Krety duży okręt, który prując szybko szklistą powierzchnię wody, skręcał w stronę morza egejskiego.

Powiew świeżego, wschodniego wiatru igrał z purpurową banderą statku.

Wysoko wzniesiony kadłub okrętu wskazywał, iż budowano go dla pomieszczenia dużego ładunku, bynajmniej wszelako ten wielki wymiar statku nie przejmował trwogą; zbliżywszy się na nieznaczną odległość, można było poznać, iż mimo swą wielkość, okręt nie był wojennym, lecz spokojnym, handlowym statkiem; przekonywały o tem nawet symboliczne znaki, umieszczone na przodzie, od których statek miano swoje otrzymał. Napróżnoby też upatrywać tu broni, lub zwykłych na wojennych okrętach zabezpieczeń.

Tył okrętu upiększony był wizerunkiem bogini Pallady, który wskazywał, iż właściciel statku był Ateńczykiem. Dla silniejszego spojenia bali, był cały kadłub umiejętnie skrępowany grubemi linami, obmalowanemi mieszaniną smoły i wosku. Wzdłuż ściany świecił szereg owalnych otworów dla wioseł, zaś przez otwór na rudel przeznaczony, wybiegały liny kotwic, nawinięte na korbę. Na przodzie, poniżej symbolicznych znaków, była wymalowana para wielkich oczu, jakby dla okazania, iż okręt, płynąc po morzu, zna drogę i cel swój.

W najwynioślejszem miejscu statku, tam, gdzie sternik rudel dzierżył, zebrała się niewielka gromadka osób, wesoło i ożywienie rozmawiając. Byli to przeważnie lidyjscy i feniccy kupcy, którzy, korzystając z okazyi, okrętem tym powracali ku Atenom; statek bowiem, odwiedziwszy ważniejsze porty Małej Azyi i w towar się zaopatrzywszy, ku pirejskiemu kierował się portowi.

Służba okrętowa, zgromadzona na przodzie pokładu, zawodziła monotonne pieśni, lub bezczynnie spoczywała w cieniu żagli; jedynie kilku młodych niewolników, krzątających się przy urządzeniu wieczerzy, zwijało się między gnuśniejszymi próżniakami.

U stóp masztu, na pokładzie, rozbity był niewielki namiot, niski na tyle, żeby uderzenia wiatrem kołysanego żagla nie poruszały go. Namiot był zasłonięty oponą, nie do tyla jednak szczelnie przystającą, iżby z poza niej nie widać było małego, w białem ubraniu chłopca, cztero, lub pięcioletniego, który bawił się konną jazdą — konia zastępował wytwornie wycięty i na różne kolory wymalowany pręcik. Że jednak nie wiele było miejsca na taką zabawę, malec przeto dość często zaczepiał o rząd paczek i kufrów, stojących po bokach. Ile razy się zdarzyło takie zetknięcie, grożące chłopcu upadkiem, wewnątrz namiotu słychać było głos młodej kobiety:

— Kalias, baw się tam, gdzie ci matka pozwoliła.

W namiocie siedziały dwie osoby: właściciel i dowódca statku, młody kupiec ateński, niedbale spoczywający na łożu i jego młoda żona, u wezgłowia siedząca.

Glaukos — imię kupca — był dwudziestopięcioletnim mężczyzną, o miłem, myślącem wejrzeniu. Staranny ubiór wskazywał w nim zamożnego człowieka.

Spoczywał na łożu, jedną rękę trzymał pod głową, w drugiej, niedbale zwieszonej, miał zwój papieru. Ale wzrok wskazywał, iż myśl błądziła gdzieindziej, zdala od otaczających przedmiotów.

— Nie — zawołał, rzucając zwój na stół — to dziwne, ten człowiek stoi mi ciągle w myśli, na chwilę zapomnieć go nie mogę.

— Któż to taki? — spytała żona.

— Właśnie, że nie wiem, moja Charikleja. Przypłynął do nas, kiedyśmy stali na kotwicy w jednym z portów, z chęcią sprzedania nam kilku owiec, które miał na zbycie w swojem czółnie. Byłaś wówczas z niewolnikami na lądzie, dla czynienia zakupów. Zaledwie wpuściliśmy go na pokład, gdy zaczął z natarczywą ciekawością rozpytywać się o wszystko, co mu pod oczy podpadło. Nie dosyć na tem, zaczął badać stosunki handlowe i pytać, czy za złotem haftowane dywany babilońskie można sobie dom kupić.

— Jak wyglądał ten człowiek? — pytała Charikleja.

— Przypomina mi Herkulesa, w tej postaci, w jakiej go zazwyczaj aktorowie na scenach przedstawiają. Był silny i wysoki, długie i gęste włosy w nieładzie spadały mu na szeroki, gruby kark, czoło miał w znacznej części zarośnięte.

— Cóż on robił na waszym pokładzie?

— Jednego nie kończąc, o drugiem zaczynał. Nareszcie zniecierpliwił mnie do tego stopnia, że poleciłem ludziom moim sprowadzić go do jego łodzi. Ale olbrzym począł się bronić i silnym razem powalił dwóch moich parobków na pokład, jednego dotkliwie raniąc. Wówczas rzuciłem się sam do niego, a chwyciwszy go za pierś, zawołałem:

— Precz z mego okrętu, barbarzyńco, albo, na Jowisza, na złe ci wyjdzie twoja hardość.

Słowa te wywarły dziwny wpływ na nieznajomym; wzrok zabłysnął mu dzikim blaskiem, odrzucił w tył włosy, wyprostował się dumnie i pełnym wściekłości głosem krzyknął:

— Barbarzyńca, hai dobrze, Ateńczyku, spotkamy się jeszcze kiedykolwiek!...

I odepchnąwszy ludzi moich, co na drodze mu stali, wskoczył do swojej łodzi i popłynął ku lądowi.

— Ten człowiek — przerwała żona — strachem mnie przejmuje.

— Trwożliwa istoto — przerwał z uśmiechem Glaukos — powinnaś się raczej cieszyć z tego zdarzenia... ja, przyznam ci się otwarcie — tu zniżył głos — pragnę jakiegoś niepowodzenia. My jesteśmy za szczęśliwi! Wszystko wiedzie nam się, jak bożkom, niczego nie pożądamy, bo wszystko mamy... Wszak nie brak nam ani złota, ani majątku, ani dużego domu w mieście, ani znaczenia w Atenach; okręty mo e stoją w Pireju, a majątek na Salaminie zaopatruje we wszystkie produkta, któreby nam potrzebnemi być mogły. Co się zaś tycze przyszłości — i ta uśmiecha mi się szczęściem, czyż nie mam syna Kaliasa, jedynego spadkobiercy mojego dorobku?...

Wyliczywszy przyczyny swego szczęścia, spostrzegł się Glaukos, iż pominął żonę — kobieta jednak w starożytności nie miała wielkiego znaczenia.

Podniósł się na łożu, wsparł na jednej ręce i obrzucił mi osnym wzrokiem postać Charikiei. Lekki strój pozwalał podziwiać kształtną budowę żony Glaukosa, a poprzez otwory fałdów i wycięcie sukni widać było białą pierś, wysoko wzniesioną i silne, choć delikatne łopatki wraz z karkiem. Postać Charikiei, jej chód i sposób noszenia głowy, wskazywały w niej bogatą panią, przywykłą rozkazywać.

Glaukos wziął żonę za delikatną, pierścieniami upiększoną rękę i dodał:

— Albożto nie mogę się pochwalić najpiękniejszą i najlepszą żoną?

Charikleja podniosła na niego swe duże, ciemne oczy i uścisnęła silnie jego rękę.

— Spojrzeniem i uściskiem zdawała się mówić:

— A czyliż mój Glaukos nie jest najlepszym i najprzystojniejszym z mężów?...

— Nie patrz na mnie takiemi oczyma, moja pszczółko, bo w łonie mem budzisz piekielne żądze, a wiesz przecież, co powiadają ludzie z morzem obyci. Statek winien być wolnym od składania ofiar Wenerze, raz dlatego, że jest święty, powtóre, że jedna deska dzieli nas od śmierci; nie godzi się wobec jej majestatu żartować.

Chariklea zdawała się nie słyszeć słów męża.

— Twierdzisz tedy — przerwała — że jesteśmy za szczęśliwi. Boisz się zazdrości bogów?

— To ty powiedziałaś — z uśmiechem odparł Glaukos, starając się przenieść zuchwałe słowa na żonę, jakby w obawie podsłuchania.

— Poczesz się — mówiła żona — bogowie uczuć zazdrości nie miewają; zato ja mam jedno życzenie, na którego spełnieniu tak mi wiele zależy, że gdybym wątpiła w możebność tego, byłby to kolec róży, wepchnięty w serce.

— Cóż to za życzenie, do którego tak wielką przywiązuesz wagę? — spytał Glaukos nie bez zdziwienia.

— Oto, kiedy nadejdzie kres nasz, wcześniej czy później, abyśmy mogli umrzeć razem; pomyśl tylko Glaukosie, co za nieszczęście byłoby, gdyby jedno z nas wyprzedziło drugie. Oh! bogowie, ileż razy błagam was o odwrócenie takiej biedy.

— Sirzeż się — przemówił na seryo mąż — nie można lekceważyć rzeczy poważnych. Śmierć i życie spoczywają w łonie bogów, a dla nas jest to tajemnicą. Kiedyś możesz gorzko żałować twej dzisiejszej prośby, którą niebieskie potęgi wysłuchać mogą.

— O nie, nigdy — zawołała Charikleja. Śmierć niech przyjdzie kiedybądź i jak chce, byleśmy znaleźli się wspólnie w jej objęciach.

Przy tych słowach odsłoniła zasłonę namiotu. Przed niemi roztaczało się morze, zielonawe fale lśniły się od blasku słońca. W oddali, szczyty gór jakiejś wysepki wpijały się w błękit nieba, a na północnej stronie widnokręgu pasmo ciemnych chmur odbijało się na lazurze.

— Bogowie — zawołała Charikleja, podnosząc ręce ku niebu — siły niebieskie! czy znalazła posłuchanie prośba moja u was? Jeżeli tak, ześlijcie widomy znak waszego potwierdzenia.

Stanęła u samego wyjścia do namiotu, okiem rzucając pytanie swoje w przestworze.

Glaukos podążył za nią i stanął w głębi, ukryty w cieniu, śledząc kierunek jej wzroku; nawet mały Kalias, jakby w oczekiwaniu czegoś, stanął za matką, przerwawszy sobie zabawę.

Z wnętrza ciemnych chmur, jak iskra, przemknęła ognista wstęga, wężowato obejmując czarne olbrzymy. W ślad za nią, głuchy łoskot dalekiego grzmotu napełnił powietrze i współcześnie niemal trzy białe ptaki, dwa duże, jeden mniejszy, zawiodły krąg nad statkiem, szybkim lotem wzbijały się ku górze, jednakowe kreśląc koła i coraz niewyraźniejszemi się stając w przestworach błękitu.

— Patrz — zawołała Charikleja głosem pełnym radości — moja prośba wysłuchana. Uklękła, rozkrzyżowała ręce i rzekła: „Przyjmuję to za dobry znak.

Grzmot rozległ się znowu.

— O ile jednak pamiętam — zauważył Glaukos — ptaków było trzy, z tych jeden był mniejszy...

— Być może — ciągnęła dalej Charikleja, biorąc męża za rękę — iż życzeniem bogów jest, abyśmy umarli niedługo, wszakże Kalias byłby dzieckiem; w takim razie przyjmuję to za znak dla niego; pozwól mu podążyć za nami.

Chociaż zdarzenie powyższe nie małe na Glaukosie zrobiło wrażenie, nie uszło jednak jego uwagi poruszenie, jakie zapanowało na pokładzie. W tylnej części okrętu, w miejscu przez sternika zajętem wszczął się ruch i ożywiona rozmowa; młodzi niewolnicy z wyrazem niepokoju na twarzy biegali z jednego miejsca na drugie, a nawet starsi ciekawem okiem spoglądali ku morzu.

— Co się stało? — zapytał Glaukos.

— Na morzu widać maleńki statek, który zdaje się nas ścigać.

Glaukos poszedł do sternika:

— Od czasu, kiedyśmy koło Rhodosu przepływali — mówi sternik — statek ten bezustannie za nami podąża; kilkakrotnie zmieniałem kierunek okrętu i za każdym razem spostrzegałem, iż owo czółno czyni to samo. To mnie naprowadza na smutne przypuszczenie, że jestto okręt morskich rozbójników.

— Hej Egipcyaninie — zawołał Glaukos — zbliż się.

— Ten, którego wołano był łysym i zgarbionym, o siwej brodzie starcem. Nazywano go Egipcyaninem dlatego, iż przez długie lata odwiedzał egipskie miasta, jak Buziris, Bubastos i inne.

— Co myślisz o tem? zapytał go Glaukos, wskazując mu maleńki punkcie na morzu.

— Myślę, że to darmne strachy — wyrzekł krótko zapytany.

— A jak sądzisz — ciągnął dalej Glaukos — co za rodzaj statku to być może.

— Ja myślę, że to jest myopara.

— Myoparami nazywano maleńkie czółenka, używane przez wyspiarzy. Dawniej odbywano na nich wyprawy zbójeckie, celem napadu na okręty handlowe, później jednak dosłużyły się one obywatelstwa na posługach szlachetniejszego gatunku. To też uwaga Egipcyanina nie przeraziła nikogo.

— Zwyczajna rzecz — mówił kupiec fenicki, głaszcząc się po brodzie, że małe czółna chętnie za wielkiemi płyną. To im zabezpiecza pomoc w razie jakiego wypadku.

— To mnie nie przekonywa wcale — wtrącił jeden z podróżnych. Gatunek statku nie świadczy o jego żeglarzach, a złodziej i rozbójnik mogą kryć się na łódce, wydarłej uczciwemu jej właścicielowi!

(Dalszy ciąg nastąpi).

MATYLDA SERAO

UCIĘTA RĘKA

TŁOMACZYŁA
MARYA TOCZYSKA

53 L

Służący John w tej rozmowie obiecał mi przyprowadzić w miejsce pewne głównego zarządcę Hennera, Levy'ego, obiecując urządzić to w ten sposób, aby Markus, podejrzliwy i nadzwyczajnie ostrożny, nie powziął jakich podejrzeń.

W ciągu dnia, przewidując, że ważne, a może nawet tragiczne rzeczy oczekują mnie, poczyniłem wszelkie przygotowania, tak, jak gdybym dnia tego miał już umrzeć i napisałem nawet do Ciebie list pożegnalny, który następnie spaliłem, bo okazał się niepotrzebnym. Dick Leslie sam nie ukrywał przedemną, że wdajemy się w walkę bardzo niebezpieczną, w której pozostać mogliśmy pokonani, bo mieliśmy przed sobą przeciwnika, który nie przebierał w środkach i sposobach zwycięzenia.

Poczyniłem więc ostatnie moje przygotowania. Możesz sobie mój kochany wyobrazić, w jakim stanie umysłu spędziłem ten dzień, zamknięty w hotelowym pokoju, czekając godziny jedenastej, w której Levy miał przybyć po mnie i zabrać ze sobą na tę wyprawę nocną. Nie pamiętam w życiu mojem takiego niepokoju i gorączkowego zniecierpliwienia. Dick Leslie przygotował w razie udanego zamachu powóz pocztowy w małeńkiej, wąskiej uliczce niedaleko Broadvay i yacht, który oczekiwał na nas na Tamzie w razie, gdybyśmy woleli obrać tę drogę do ucieczki. Yacht ten znajdował się przy moście w bliskości domu, zamieszkałego przez tego ohydnego garbusa, aby Marya po ucieczce z jego domu nie potrzebowała w tym stanie wycieńczenia, w jakiem się znajdowała, długo błąkać się po ulicach.

Wszystko to, ma się rozumieć, kosztowało wiele pieniędzy, ale nie dbałem o to, poświęciwszy już z góry na to przedsięwzięcie poważną sumę. Na cóż przydać się mógł mój majątek, jeżeli nie na pomoc do zdobycia jedynego celu mojego życia?

Wybiła jednakże oczekiwana tak przezemnie godzina jedenasta, a zarządca Levy nie stawił się w oznaczonem miejscu. Czekaliśmy z Dickiem na niego do północy, przechadzając się niecierpliwie po pustej ulicy. Nie przyszedł wcale.

Lecz o godzinie wpół do pierwszej, kiedy już straciliśmy wszelką nadzieję i obawialiśmy się zdrady, nadszedł John i oświadczył nam, że pomimo jego usilnych nalegań, Levy odmówił przybycia, obawiając się gniewu swojego pana. Dodał jednakże, że Levy przyrzekł nie przeszkadzać w niczem ucieczce Maryi, lecz w zamian zażądał pewnej sumy pieniędzy, która mogła go w razie wykrycia całej sprawy zabezpieczyć przed Markusem Hennerem i pomóc do wyjazdu do Ameryki. Mieli wyjechać razem z Johnem.

W pierwszej chwili ten projekt wydał mi się podejrzanym i potwierdził tylko moje obawy i podejrzenia. Lękałem się, czy to nie zasadzka ze strony Markusa Hennera. Leslie jednak okazał się mniej podejrzliwym odemnie i radził mi obiecać żądaną sumę i zaufać Johnowi i jego towarzyszowi.

Przez ostrożność ani ja, ani Dick nie podaliśmy naszych adresów Johnowi. Wróciliśmy więc do hotelu przygnębieni bardzo, bo pomimo optymizmu Dicka, niepokoił mnie ten Levy, jedyny człowiek, który trzymał w ręku rozwiązanie całej sytuacyi.

Przyznam Ci się mój przyjacielu, że nocy tej opuściła mnie zupełnie energia i nadzieja i wierzyłem, że już nigdy nie zdołam wyrwać Maryi z jej haniebiącej niewoli i ukarać tego nikczemnego Markusa Hennera.

Nazajutrz rano Dick Leslie przyszedł mnie pocieszyć, że zaszła dla naszej sprawy okoliczność sprzyjająca, bo Markus Henner wyjechał nagle na dni kilka do Dublina. Został podobno powołany do tego miasta przez jakąś wielką damę, którą miał leczyć hypnotyzmem. Chodziło o zdobycie wielkiej sumy pieniężnej, a Henner, choć bardzo już bogaty, nie pogardzał nigdy sposobnością powiększenia jeszcze swojego majątku. O tej nagłej podróży wspomniał tylko Levy'emu, nie oznaczając dokładnie dnia powrotu.

A więc ten potwór miał wyjechać! Wiadomość ta była dla nas doskonała! Ale jeżeli zabierze ze sobą Maryę, co było bardzo prawdopodobnem? Cóż się stanie wówczas z naszym nieszczęsnym planem? Zacząłem więc znowu przeżywać straszne chwile niepokoju i dręczącego oczekiwania. Levy w tym czasie przysłał do mnie Johna ze smutną wiadomością, że zazwyczaj Marya towarzyszyła Hennerowi w takich podróżach. Ten przeklęty potwór obawiał się nawet na dni parę pozostawić ją bez jego opieki w swojem więzieniu. Trzeba było więc koniecznie tak wpłynąć na Maryę, żeby formalnie oparła się życzeniu Markusa Hennera i pozostała w domu. John i Levy twierdzili, że garbus kochał głęboko nieszczęśliwą kobietę i choć ona traktowała go zimno i z pogardą, szczęśliwy był, mogąc zadość uczynić jej kaprysowi. Sądził, że w ten sposób zjedna ją sobie i zmusi do pokochania go!

Ale czy Marya zechce prosić Markusa, aby ją pozostawił w Londynie? I czy Henner, który się tak lękał ją utracić, nie wpadnie na jakie podejrzenie i przyjmie naturalnie to żądanie?

Levy przez Johna radził mi napisać do Maryi i błagać ją, ażeby użyła wszystkich swoich wpływów i wysiłków, by wytłómaczyć garbusowi ten jej wyjazd i wymóc na nim pozwolenie pozostawienia jej w Londynie. A przytem trzeba było koniecznie zdecydować do wykorzystania tych dni kilku i zmusić ją do ucieczki zaraz po wyjeździe Markusa Hennera. Napisałem więc ten list nieprzytomny prawie z niepokoju. Pomyśl tylko Ranieri, że ja Maryi nie znałem wcale i że ona również mnie nie znała i że uczyniłem tę nieostrożność, że już raz wysłałem do niej gorący list miłosny! Napisałem więc do niej po raz drugi. Błagałem ją, w imię córki, w imię jej zbawienia, porzucenia Markusa Hennera, człowieka, który trzymał ją u siebie piętnaście lat w ukryciu!

Trzy dni upłynęło, trzy śmiertelne dni! Nie otrzymałem odpowiedzi na mój list i żadnej innej wiadomości. Nawet Dick Leslie, taki pogodny i niewzruszony, zaczął tracić cierpliwość. Jednakże John widywał się z nim i wyjaśniał, że podróż Markusa Hennera wstrzymana została niespodziewanym przyjazdem jakichś żydów z Rosyi. Ale John dodawał, że Henner mógł w każdej chwili wyjechać nagle, jak to mu się często zdarzało, więc należało być przygotowanym na wszystko. Markus Henner według opowiadania Johna był od kilku dni zły i smutny. Kilka gwałtownych scen miało miejsce pomiędzy nim a Maryą z powodu jakiejś młodej dziewczyny zaginionej czy opuszczonej. Marya podobno po raz pierwszy w obecności służby, silnie podniecona, wyrzucała mu okrutne jego postępowanie względem niej. Co zaś do rezultatu obydwu moich listów, John nie umiał nic powiedzieć.

Przez te trzy nieskończone dnie powóz pocztowy co noc oczekiwał w naznaczonem miejscu i muszę Ci się przyznać mój Ranieri, że przepędziłem w nim te trzy noce, drżąc z niecierpliwości, ze zwątpienia i trwogi o Maryę!

Czwartego dnia nareszcie nadeszła wiadomość trochę pocieszająca. Markus Henner miał tejże samej nocy wyjechać do Dublina.

Jednakże nikt nie wiedział, czy Marya towarzyszyć mu będzie, czy też pozostanie w Londynie. Od dwóch dni nie wychodziła ze swego pokoju, utrzymując, że jest chora i Markus Henner mógł ją tylko widzieć na chwil kilka z progu pokoju, skąd go bezwzględnie i stanowczo wypędziła. Pomimo tego jednak człowiek ten rozkochany w niej aż do szału i bardziej zazdrosny niż sam Otello, mógł ją w ostatniej chwili zmusić do wyjazdu.

Tylko Dickowi Leslie zawdzięczam, że nocy tej mogłem się zdobyć na zrobienie jakiegoś planu. Postanowiliśmy noc całą krążyć pod domem Markusa Hennera, by się przynajmniej dowiedzieć, czy wyjedzie sam, czy też z Maryą. John porozumiał się z Levym i z nami, że w razie, gdyby Marya pozostała w Londynie, tejże nocy wykraść z domu Hennera. Levy miał towarzyszyć Maryi aż do głównej bramy wjazdowej, John zaś aż do miejsca, w którem ja miałem oczekiwać. Tam dam im przyobiecane pieniądze i wyjadę natychmiast z Maryą.

Wieczorem, kiedy już zmierzch zapadał, zmierzch dziwnie smutny i przygnębiający, poszliśmy z największą ostrożnością wybrać miejsce dogodne na nasze czaty.

Chciałem na własne oczy przekonać się, czy Markus Henner odjeżdża sam i dla tej przyczyny umieściłem się na bliżej bramy wjazdowej, ale Dick Leslie sprzeciwił się mojemu zamiarowi.

— Nie — rzekł mi — tak być nie może. On poznać może po radości, która rozjaśni twarz pana, kiedy go pan ujrzy samego i której pan ukryć nie potrafi. A jeżeli będzie w towarzystwie Maryi, gotów pan rzucić się na niego.

— Ma pan słuszność -- odpowiedziałem i odstąpiłem mu mój punkt obserwacyjny.

Możesz wyobrazić sobie, mój drogi Ranieri, co się ze mną działo przez te kilka godzin oczekiwania pod domem Markusa Hennera. Wzruszenie dławiło mnie wprost. Bo pomyśl tylko! Doszedłem do najkrytyczniejszego momentu mojego życia, wystawiony na niebezpieczeństwo śmiertelne, a równocześnie w oczekiwaniu najwyższego szczęścia na świecie. Przeszedłem piekielne męki w tej wąskiej uliczce na Broadvay, lecz przysiągłem sobie iść ślepo za wskazówkami Dicka Leslie, który mnie zawsze cudownie umiał poprowadzić w zabiegach koło tego ciężkiego przedsięwzięcia.

Różne myśli i dręczące przypuszczenia przychodziły mi do głowy. To obawiałem się, że Markus Henner wcale nie wyjedzie tej nocy, to znowu, a była to największa moja męka — że Marya wyjedzie razem z nim do Dublina. Podobna okoliczność niweczyła na zawsze mój plan zuchwały i mogła mnie wtrącić w otchłań rozpaczy i szaleństwa.

Nareszcie usłyszałem północ, wybijającą na niedalekim zegarze i zdało mi się, że tych dwanaście donośnych i miarowych uderzeń znaczyło mistyczne godzinę mojego przeznaczenia. Rzeczywiście w dziesięć minut później ujrzałem, jak jakaś ciemna postać zbliża się do mnie. Z trudnością w ciemności udało mi się rozpoznać Dicka Leslie.

— No i co? — zapytałem go zduszonym głosem, z trudem łapiąc ustami powietrze.

— Wyjechał — odpowiedział mi lakonicznie Dick.

— Sam?

— Sam — szepnął Dick, pochylając się ku mnie.

Gorący napływ krwi buchnął mi do głowy. Drżałem całem ciałem. Pochwyciłem za ręce Dicka, czepiając się go z uczuciem człowieka, któremu ktoś by uratował życie.

— Co uczynimy teraz? — zapytałem.

— Poczekajmy, aż Levy powróci z dworca, ażeby się raz jeszcze przekonać, że Markus Henner wyjechał naprawdę.

Tymczasem udaliśmy się na placyk, na który wychodziły okna mieszkania garbusa. Skoro potwór był już daleko i wkrótce miał być w drodze do Dublina, mogliśmy już swobodnie przypatrzeć się bliżej więzieniu mojej biednej Maryi.

Wszystkie okna były zamknięte i zasłonięte. Drzwi główne hermetycznie zamknięte. Najmniejszego znaku życia w tym domu, który miał mi wyjawić tajemnicę mojego życia. I kiedy tak wpatrywałem się w te smutne i posępne okna, nowa niepewność, przykrzejsza od innych jeszcze, zrodziła się we mnie. Niepewność, że napróżno oczekujemy tu w nocy, że napróżno cieszymy się nadzieją ucieczki Maryi, skoro ta nieszczęśliwa, nie znając mnie, nie mając do mnie żadnego zaufania, zrażona może gorącemi słowami mojego listu, odmówić może stanowczo przyjęcia naszej pomocy i nie zechce opuścić swojego więzienia.

Usłyszeliśmy w końcu turkot powozu, powracającego z Broadvay. Obawiając się, że Markus Henner powraca może, spóźniwszy się do pociągu, lub też dla tej przyczyny, iż przeczuwał, że się przeciwko niemu knuje jakaś zdrada, rzuciłem się pospiesznie w ciemności wąskiej uliczki. Dick Leslie uczynił to samo. Powóz zatrzymał się przed drzwiami mieszkania Markusa Hennera, ale na szczęście wyszedł z niego tylko Levy. Odetchnęliśmy z ulgą i pospiesznie podeszliśmy do niego, ażeby mu przypomnieć obietnicę, daną nam za pośrednictwem Johna. Ale po ruchu, jaki uczynił, ujrzawszy nas, zrozumieliśmy, że powinniśmy oddalić się jeszcze, bo widocznie obawiał się ciekawości stangreta. Levy dużym kluczem otworzył bramę wjazdową, do której wjechał powóz i która natychmiast zamknęła się z trzaskiem.

Ciąg dalszy nastąpi).

ROBERT HICHENS.

Bella Donna

Tłómaczenie z angielskiego Marji Starzewskiej.

TOM II.

— Tak, komplikacyi. Pan jest zupełnie pewny, że to tylko porażenie słońcem?

— Zupełnie.

— A ja nie.

Doktór Hartley spojrzał na niego.

— Wiem, że pan przyszedł z widokiem na konsylium — rzekł sztywno. Lecz mój pacyent o to nie prosił, a ponieważ mojem zdaniem, jest ono zupełnie zbyteczne, mam nadzieję, że pan uzna, że dalsza o tem rozmowa jest zupełnie nie na miejscu.

— Mówi pan, że chory nie życzy sobie mego zdania? — rzekł Isaacson umyślnie nie ukrywając zdziwienia.

— Tak jest zupełnie z mojej kuracyi zadowolony. Powiedział mi to rano, kiedy przyjechałem.

— Ani na chwilę nie wątpię o pańskich zdolnościach, doktorze Hartley, ale w skomplikowanych wypadkach dwie głowy...

— Kto mówi o skomplikowanym wypadku?

— Ja mówię. Wygląd Mr. Armine, uczynił na mnie okropne wrażenie. Gdyby pan go był znał zdrowym, jak ja go znałem, doznałby pan takiego samego wrażenia. Był jednym z najzdrowiej, najsilniej wyglądających ludzi, jakich kiedykolwiek spotkałem.

Kiedy to mówił zdawało się, że widzi przed sobą Armine'a takim jakim był dawniej.

— Zmiana, jaka w nim zaszła tak pod względem fizycznym, jak i duchowym jest przerażająca — zakończył.

Doktór Hartley się niecierpliwił. Kręcił kapelusz, ociągał spodnie, rzucił papieros na dywan, poczem spiesznie zgasił go nogą. Siedząc z nogami już nie wyciągniętymi, lecz silnie na dywanie opartemi, rzekł:

— Rzecz prosta, że taki atak jak ten, zmienia człowieka. Czego innego mógł się pan spodziewać? Doprawdy! Czego innego? Zauważyłem to wszystko! I dlatego zostaję tutaj. Słowo daję, doktorze Isaacson, słysząc pana, możnaby pomyśleć, że bagatelizuję chorobę mego pacyenta.

Mówił z oburzeniem.

— Pan gotów mnie jeszcze posądzić o zawodową nieumiejętność — ciągnął dalej. — Nie wspominałem o tem, ale teraz powiem, że uważam pańskie wtrącanie się do mego pacyenta za uchybienie etykiecie przyjętej w naszym zawodzie.

— Jakie wtrącanie?

— Słyszałem, że pan mu coś dał zeszłego wieczoru — coś na sen.

— Tak, dałem.

— To miało bardzo zły skutek.

— Czy ma się gorzej dzisiaj?

Isaacson bezwiednie powiedział to prawie z naciskiem. Hartley zacisnął wargi.

— To nie konsylium — rzekł w końcu chłodno.

— Pytam się jako przyjaciel chorego nie jako lekarz.

Znowu zacisnął wargi. Jego twarz i cała elegancko ubrana postać wyrażały żywą niechęć.

— Śpi teraz — dodał.

— Śpi teraz?

— Tak. Będzie spał kilka godzin. To ja go uśpiłem.

Isaacson doznał niezmiernej ulgi. Przez kilka godzin jego przyjaciel będzie spał.

Postanowił mówić bez ogródki.

— Słuchaj pan, doktorze Hartley — rzekł — nie chcę pana usuwać. Nie jestem zwykłym lekarzem, pragnącym się wtrącić do rzeczy, która do niego nie należy dla jakiegoś interesownego powodu. Mogę pana zapewnić, że mam aż nadto do czynienia z chorobą w Londynie i radbym nie zajmować się nią tutaj. Pragnę odpoczynku.

— Miej go pan, drogi doktorze Isaacson — zauważył niewzruszony Hartley — miej go pan i pozostaw mnie przy mojej pracy.

— Nie. Z zawodową etykietą, czy bez zawodowej etykiety nie mogę opoczywać podczas gdy mój przyjaciel jest tak ciężko chory. Nie mogę tego uczynić.

— Lękam się jednak, że pan będzie musiał to uczynić. Jestem amerykaninem i nie pozwolę się odsunąć od rzeczy, którą wziąłem w ręce — odsunąć w sposób tak mało grzeczny i przeciw życzeniu tych, którzy mnie powołali. Nigdy w całej mojej karyerze żaden lekarz nie wpakował się — tak to jest najwłaściwsze wyrażenie — nie wpakował się jak pan. To poprostu nie do zniesienia, a ja nie jestem człowiekiem, któryby znosił to, co zniesionem być nie powinno.

— Gdzie jest Mrs. Armine? — zapytał nagle Isaacson. — Czy także śpi?

— Tak.

Impertynencko niedbały ton głosu Hartleya podniecił Isaacsona. Nigdy jeszcze nie czuł takiej fizycznej prawie potrzeby okazania gwałtowności, jak teraz. Lecz nie pozwolił sobie na wybuch, jakkolwiek ciężko mu to przyszło.

— Jak długo pan przypuszcza, że będzie jeszcze spała?

— Kilka godzin.

— Czy pan chce powiedzieć, że ją także uśpił?

— Zdecydowałem się to uczynić. Noc jej nie była dobrą.

Isaacson wspomniał na odgłosy, które go doszły poprzez wodę.

— Pan jej dał nasenne lekarstwo?

— Tak.

— Lecz ona się mnie spodziewała. Spodziewała się, że przybędę na konsylium.

— Przepraszam. Pan powiedział, że przybędzie. Mrs. Armine postąpiła względem mnie ze skrupulatną delikatnością. Wiem to. Pan ja postawił w bardzo trudnem położeniu. Wytłumaczyła mi to wszystko kiedy przyjechałem.

— Wytłumaczyła! — Isaacson doznał wrażenia, jak gdyby walczył z nieprzyjacielem, który podłożył minę, a sam się schował.

— Wczoraj wieczorem, doktorze Hartley — rzekł bardzo spokojnie i zimno — Mr. Armine w obecności Mrs. Armine wyraził gorące życzenie oddania się w moje ręce. Przybyłem tutaj bez najlżejszej chęci uchybienia panu, lecz ponieważ pan uważa za odpowiednie stawianie mi trudności, muszę się wypowiedzieć. Wczoraj wieczorem Mr. Armine rzekł rzekł: — Nie chcę mieć więcej do czynienia z doktorem Hartley. Nic nie wie. Nie chcę go widzieć jutro. Mrs. Armine była z nami i słyszała te słowa.

Gorący rumieniec oblał twarz młodego człowieka. Okrągłe jego oczy patrzały z wyrazem prawie śmiesznego zdziwienia.

— On... on powiedział! — zaczął. I nagle pozwalając sobie na amerykańskie przeciąganie, dodał:

— Przepraszam — lecz temu nie wierzę.

— A jednak to szczera prawda.

— Nie wierzę temu. Widziałem Mr. Armine, który powitał mnie z radością. Powierzył się mnie zupełnie. Prosił, żebym go ratował.

Isaacson uczuł nagle ból w sercu.

— Muszę go widzieć — rzekł prawie szeptem.

— Nie chcę, żeby mu przeszkadzano — rzekł Hartley z bardzo przejrzystą nieprzyjaźnią człowieka, który doznał zniewagi. — Jako lekarz zabraniam panu przeszkadzać memu pacyentowi.

— Po tem, co zaszło tej nocy i co zaszło dzisiaj nie mogę odejść bez widzenia się z Mr. Armine, albo Mrs. Armine — rzekł w końcu Isaacson.

Czy osłabiony umysł Nigla, smutny wynik jego choroby walczył przeciw jego przyjacielowi, przeciw jedynej szansie wyzdrowienia? To skomplikuje cała sprawę, postawi — Isaacson pomówał to jasno — w tak trudnej sytuacyi, że wszelka jego pomoc stanie się niemożliwą. Jaka scena zaszła w nocy, kiedy opuścił Lonlię? Zdawało mu się, że słyszy znowu ten przeraźliwy śmiech i krzyki, które po nim nastąpiły.

— Jeżeli nie mogę zobaczyć Mr. Armine jako lekarz, muszę go widzieć jako przyjaciel.

— Przez kilka dni nie będę mógł pozwolić, żeby widział kogokolwiek oprócz Mrs. Armine, mnie, i naturalnie swego służącego, Hanzy.

Isaacson zatopił przenikliwe, ostre jak nóż spojrzenie w młodego człowieka. Zrodziło się w nim podejrzenie, straszne, może głupie... ale czyż wszystko nie jest możliwe na tym świecie? które jednak mogło spoczywać na prawdzie. Pod tem spojrzeniem młody lekarz drgnął i poruszył się niespokojnie.

— Co... co panu się zdaje? jąkał prawie. — Co pan ma na myśli?

Machinalnie poprawił krawat.

— Nie rozumiem pana — dodał.

A kiedy dziwny wyraz znikł z oczu, które otrzymały odpowiedź na swe pytanie, odzyska równowagę i rzekł:

— Stanowczo nie pozwalam panu wiedzieć się z Mr. Armine. Pan by go zmęczył i podniecił. Potrzebuje największego spokoju. Mózg jest nadzyczaj czułym organem.

Isaacson nagle doznał wrażenia, że ma przed sobą upartego chłopca, i wszelki gniew, jaki czuł do niego, ustąpił. Przeciwnie miał teraz uczucie ironii i politowania. Wyrządził mu chwilową krzywdę swem podejrzeniem i za tę chwilę chciał mu zadość uczynić. Że młody lekarz o tem nie wiedział, to go nie obchodziło. Winien był zadość uczynienie samemu sobie.

— Doktorze Hartley — rzekł prawie serdecznie — zdaje mi się, że się wzajemnie nie rozumiemy. Może to moja wina. Nie powinienem był powtarzać słów Mr. Armine. Wprawdzie były wypowiedziane, lecz chorzy nie ważą słów. My lekarze wiemy o tem i nie zwracamy wiele uwagi na to, co mówią. Pan jest tutaj, jestem tego pewny, jestem tego pewny, bez żadnej innej intencyi, niż wyleczyć mego biednego przyjaciela. Ja mam to samo pragnienie. Po co mamy się kłócić?

— Nie pragnę żadnej kłótni, lecz nie chcę się poddawać człowiekowi, który się wciska i stara się mnie usunąć.

— Ależ bynajmniej, nie chcę pana usuwać. Pragnę tylko, żeby mi było wolno współpracować z panem. W Londynie ofiarują mi daleko więcej pracy, niż mógłbym jej podołać. Jeżeli pan mnie wezwie na konsylium, to nietylko nie zaszkodzi, lecz pomoże pańskiej lekarskiej opinii. Bez zarozumiałości mogę to powiedzieć. A jeżeli pan myśli, że jestem na Nilu, żeby zebrać pieniądze, pan się myli. To jest wypadek, w którym trochę mego osobistego szczęścia jest wmieszane. Mam wiele przyjaźni dla tego chorego człowieka. Oto cała prawda.

Doktór Hartley patrzał na niego, spojrzał w dal i znowu na niego.

— Nie wątpię o pańskiej przyjaźni dla Mr. Armine — rzekł z lekkim naciskiem na przedostatnim wyrazie.

— Czy pan pozwala, żebym po przyjacielsku omówił tę chorobę z panem? Żadne formalne konsylium. Proszę tylko wyjawić mi pańskie całkowite przekonanie i odpowiedzieć na pytania, które mi się nasuną.

— Nasunął Lecz pan nie badał chorego. Pan nie zna wszystkich szczegółów choroby.

— Nie, lecz widziałem chorego.

— Tylko przez kilka chwil, o ile wiem. Jak pan mógł wyrobić sobie zdanie?

— Nie mówię, że wyrobiłem, lecz niektóre rzeczy mnie uderzyły.

Doktór Hartley spojrzał swemi ładnemi okrągłemi oczami.

— Naprzykład szara cera, reumatyczne bóle, oddech i... czy pan zauważył? ale bez wątpienia pan musiał zauważyć... opuszczanie rąk chorego.

Twarz młodego lekarza spoważniała. Wyglądał mniej pewny siebie.

— Opuszczanie rąk — rzekł.

— Tak.

— Rozumie się. Osłabienie mięśni zupełnie naturalne przy dłuższej chorobie. Turyści powinni być ostrożniejsi.

— Przypuszczam, że pana uwiadomiono, że chory mieszkał i pracował przez wiele miesięcy z rzędu w Egipcie. Ma posiadłość ziemską w Fayum i sam zajmuje się jej uprawą. Nie jest nowicyuszem w Egipcie ani niedoświadczonym turystą. Przyzwyczajony do słońca przez dłuższy przeciąg czasu.

— Ah, tak? — rzekł Hartley.

— Czy to nie dziwne, że doznał porażenia słońcem wczesną wiosną, w lutym?

— To szczególne — tak, to szczególne — przyznał.

Założył nogę na nogę.

— Przypuszczam, że Mr. Armine sam przypisywał swoją chorobę słońcu — rzekł po chwili Isaacson.

— To jest — oh, tak, odrazu to się rozumiało, że to słońce. Niema wątpliwości co do tego. Wyszedł w samo południe w Tebach bez kapelusza. Prawdziwe szaleństwo! ludzie to widzieli.

— I wszystko z tego poszło?

— Tak. Naturalnie nie był zupełnie zdrów przedtem.

— Nie?

(Ciąg dalszy nastąpi).

Kronika tygodniowa

Doczekaliśmy się nareszcie tak upragnionego od kilku miesięcy deszczu, którego brak dawał się już wszystkim poważnie we znaki. W dniu 4 sierpnia br. popołudniu, po poprzedniej kanonadzie, otwarły się upusty niebieskie i strumienie życiodajnego i błotonośnego dżdżu spłynęły na spragnioną ziemię. Radowali się agraryusze, Zakład czyszczenia miasta, wyższe sfery Krakowa, to jest mieszkańcy od drugiego piętra począwszy, skazani na brak wody w wodociągu, gospodynie, spodziewające się, że opady deszczowe spowodują też i spadek cen na najniezbędniejsze artykuły codziennej potrzeby, słowem wszyscy, z wyjątkiem naszych aniołów, którym nasunęło się na myśl pytanie, jak tu wyjść na spacer w białych atłasowych pantofelkach o tekturowej podeszwie.

Nie wszystkich nadzieje spełniły się jednakowoż. Szczególnie przykrego zawodu doznały nasze gosposie, gdyż już nazajutrz, to jest w piątek, dowiedziały się na targu, że o spadku cen i mowy niema, wprawdzie bowiem deszcz przyczynił się do poprawy stanu ziemniaków i różnych jarzyn, trawie przecież nie pomoże, tak jest spalona. Agraryusze zatem, tak wielcy jak i mali, ze względu na grożący brak paszy, zmuszeni są dawne ceny utrzymać w tej samej wysokości, a nawet je nieco podnieść. Doczekaliśmy się zatem czasów, o jakich nie śniło się Paryżanom podczas oblężenia w roku 1871, gdy za szczura średniej wielkości płacono pięć franków. U nas wprawdzie ten artykuł spożywczy nie wszedł jeszcze w modę, prawdopodobnie z powodu, iż te sympatyczne czworonogi zostały już poprzednio zużyte na inne cele, zato za litr mleka, odpowiednio rozcieńczonego wodą, żądają nasi poczciwi włościanie siedmdziesiąt marek i więcej, a od różnego masła do tysiąca marek za kwartę. A gdy się ich pytano, czy mają Boga w sercu, zdzierając z bliźnich tak niemiłosiernie skórę, słyszało się odpowiedź, że teraz wolny handel, im więc wolno żądać, ile im się podoba, a nam wolno płacić, jeśli chcemy jeść.

Na obniżenie cen deszcz zatem nie wpłynął, agraryusze mają zawsze gotową wymówkę na swoje usprawiedliwienie, czy deszcz, czy pogoda.

Powodowani ciekawością, czy opady deszczowe są tylko przejściowe, czy też możemy się spodziewać odtąd częściej niepogody, zwróciliśmy się z zapytaniem do Obserwatoryum astronomicznego, gdzie nam odpowiedziano, że to dopiero przyszłość pokaże, w każdym razie wskazanem jest zaopatrzenie się w parasol, który w razie braku deszczu chronić może od promieni słonecznych. Zwrócono nam uwagę na plamy, jakie są widoczne na słońcu, co według jednych uczonych jest pewną zapowiedzią dalszej seryi opadów, według drugich nastania pory deszczowej, zwłaszcza, że zbliżamy się do uroczystości św. Jakóba, a w tym czasie lubią u nas padać deszcze powodujące powodzie, zwane „jakóbówkami". Kto zatem ciekawy, czy mieć będziemy pogodę czy nie, sam się o tem przekona, a do kalendarza „stuletniego" niech nie zagląda, gdyż tam powtarzają się stale od stu lat te same przepowiednie, zupełnie tak jasne, jak orzeczenie naszych meteorologów, iż możemy się spodziewać albo deszczu albo pogody.

Jeśli się jednak zważy, że *Nassod* (Niebieski Urząd zaopatrywania ziemi opadami deszczowymi) molestowany był stale ze wszystkich stron prośbami o deszcz, a obsługiwany jest przez zamiennejszych fachowców, rynszy niż naprzykład *Pusap*, można się spodziewać raczej deszczu niż pogody. Wpłynie to dodatnio na poprawę naszych stosunków wodociągowych, bardzo obecnie opłakanych, choć nie jest wykluczonem, że nadmiar wody w wodociągu może spowodować zupełny jej brak w mieście, jeśli dajmy na to, pęknie sobie któraś z najgrubszych rur, gdyż u nas z zasady tylko takie niegają katastrofom. Opady deszczowe nie wpłyną natomiast dodatnio na porządek w mieście, zamiast bowiem kurzu będziemy mieć błoto, dalsko boleśniej dające się odczuwać ludziom, mającym fistuły w podeszwach.

Tak więc źle i tak nie dobrze!...

Ostatnie upały dały się nie na żarty odczuć tym, którzy zmuszeni byli obowiązkami do pozostania w mieście. Zaczęły one źle wpływać na stan zdrowia niektórych osobników, bardziej delikatnych, nic zatem dziwnego, że pewien wielki polityk i gruntowny znawca geografii rozpisywał się szeroko o uregulowaniu granic między... Norwegią a Irlandyą, a potom pomyłkę swą spędził na dyabl.ka drukarskiego, który est tak nieznośną szelmą, jak maszyna do pisania, nie chcąca w żaden sposób zastosować się do ogólnie obowiązujących zasad ortografii.

O braku wody pisaliśmy już poprzednio, gorzej jednak, że równocześnie brakło w Krakowie i piwa, a wiadomo, iż, jak nie samym tylko chlebem żyje człowiek, tak też i nie samą wodą gasi pragnienie, czem różni się od innych stworzeń, nie należących do rodzaju *homo sapiens*. Gaszenie pragnienia piwem jest z wielu względów wskazane. Ten, kto lubi piwo, zużywa mniej wody, a do oszczędzania jej magistrat stale nawołuje, piwo wpływa też dodatnio na stan zdrowia, jak bowiem stwierdził fizykat miejski, zabójczym jego wpływom nie są w stanie oprzeć się rozmaitego rodzaju chorobotwórcze bakcyle i momentalnie „wyciągają nogi". Pozbawienie zatem Krakowa piwa odczuto bardzo boleśnie w szerokich sferach jego sympatyków, którzy nie zważając na upały i dziury w chodnikach, urządzali pielgrzymki pobożne od jednej knajpki do drugiej, aby się dowiedzieć, że tu „już wyszło", a tam „jeszcze nie przyszło". Ztamtąd zatem na duchu, niczem ptak z przestrzelonem skrzydłem, jak się barwnie wyraża jeden z naszych „większego kalibru" poetów, szli spragnieni spać, budząc się rano z jeszcze większem pragnieniem.

Co było powodem tej piwnej katastrofy, tego zbadać nie zdołaliśmy, konstatujemy natomiast, że dała ona naszym szynkarzom miłą a tak pożądaną sposobność do podniesienia cen tego trunku, który z dawnem piwem ma tyle wspólnego, iż jest żółty, zresztą zaś różni się od niego pod każdym względem w szczególności zaś smakiem, a co jeszcze ważniejsze, ceną. W dawniejszych czasach panowie raczyli się winem, piwo zostawiając niższym sferom, do których zaliczano naprzykład szewców, wojna wywróciła do góry nogami stosunki w tem sposób, że na bombkę piwa za trzydzieści marek pozwolić sobie może w samej rzeczy tylko szewc, lub jakiś inny, dawniej proletaryusz, dziś burżuj, ex panowie piją zaś w dalszym ciągu wino, ale tak zwane „gęsie", którego dostarcza po dość umiarkowanych jeszcze cenach bielański wodociąg, o ile naturalnie nie urządza bezrobocia lub biernego oporu. Pijąc wodę, ma się zresztą złudzenie, że się pokrzepia trunkiem pochodzącym z piwnicy, tam bowiem stale znajduje się zegar wodociągowy.

Nasi piwosze żywią też głęboką wdzięczność do pana Piltza za jego czechofilską politykę i z radością przyjęli do wiadomości notatkę o mającym jego zjeździe z drem Beneszem w Maryenbadzie, który sławny jest z tego, iż stamtąd brały początek bardzo ważne zdarzenia polityczne. Woda maryenbadzka działa widocznie bardzo orzeźwiająco na umysły nawet i polityków. O ile starania obecnego kierownictwa naszej zagranicznej polityki co do nawiązania przyjacielskich stosunków z „braćmi" Czechami odniosą pożądany skutek, na brak czeskiego piwa nie będziemy mogli narzekać, a choć marki polskie pójdą znów za granicę, przynajmniej pragnienie obywateli zjednoczonej Polski nie będzie na szwank narażone. Możemy zresztą płacić nie gotówką, lecz towarami, naprzykład naftą, zbożem, drzewem, solą lub cukrem, w zamian zaś dostaniemy piwo i kwargle.

Kronikarz miał zamiar wybrać się do Pragi na międzynarodowy zjazd esperantystów i omówić przy tej sposobności z naczelnymi politykami czeskimi obecną sytuacyę, z powodu braku wody musiał przecież zostać w Krakowie, gdyż naznaczona przez Woronikę na ostatnie dni lipca wielkie pranie musiało być przełożone na później, a bez kilku czystych kołnierzyków i chusteczek do nosa trudno się wybrać w podróż polityczną. Łatwiej to już uskutecznić bez krawatki.

Z tego samego powodu zrezygnować musiał z wyjazdu na posiedzenie Rady Najwyższej, która o ile nie zajdzie znów coś nadzwyczajnego, a niespodziewanego, ma się zająć ostatecznem rozstrzygnięciem sprawy górnośląskiej. Na razie wentylują się rzeczoznawcy, nie robiący sobie nic z upału i radzący bardzo zacieklie w Paryżu nad rozmaitemi liniami podziału, które mają odpowiadać interesom mocarstw sprzymierzonych i Niemiec. O interesy polskie nikogo głowa nie boli. Mamy dotąd linię Korfantego i linię Sforzy, Loucher ze Stinnesem uskrzelili swoją, Loucher z Rantzauem również swoją, Lloyd George nie pozostanie zapewne w tyle i pociągnie swoją, która jednak z nich się utrzyma, to przewidzieć dziś trudno, w każdym razie jak się już obecnie zanosi, nie linia Korfantego, gdyż ta odpowiada najbardziej słuszności, a nie interesom sprzymierzonych, bynajmniej z tem się nie kryjących, że je muszą przedewszystkiem zabezpieczyć. Jeden z polityków, wprawdzie nie zajmujący się tem z urzędu i piszący swe artykuły polityczne tylko w pismach humorystycznych proponuje, aby celem zadowolenia wszystkich sprawę górnośląską rozwiązać w ten sposób, iż ludności da się przynależność państwową polską, tak jak tego żąda, ziemię zostawi się Niemcom, jako słusznie według zapatrywań Lloyda George'a im się należącą, a węgle zastrzeże sobie Koalicya, jako jej potrzebne. Będzie wtedy i wilk syty i owca cała, każdy dostanie, czego żądał, nikt nie będzie miał powodów do narzekania.

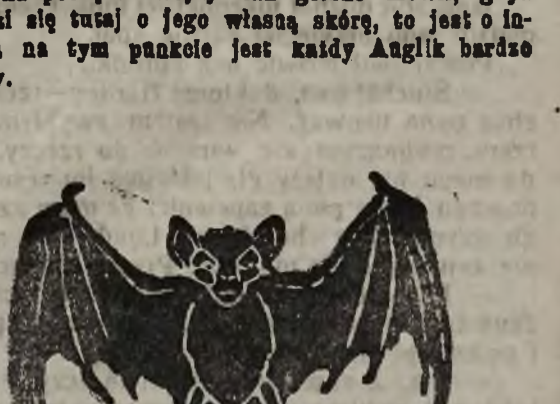
Nie jest jednak wykluczonem, że i obecnie ostateczne rozstrzygnięcie sprawy Górnego Śląska ulegnie dalszej zwłoce choć posiedzenie Rady Najwyższej zapowiedziano na dzień 8. sierpnia. Jak się dowiedzieliśmy z przemów na kongresie esperantystów w Pradze wygłoszonych, Liga Narodów ma podobno język esperanto przyjąć za swój urzędowy, być może zatem, że w jej ślady pójdzie i Rada Najwyższa, zbierze się w oznaczonym czasie, poleci swym członkom, aby się wyuczyli esperanta i następnie odroczy się aż do chwili, gdy w tym języku będzie można prowadzić obrady. Tymczasem będą mogli rzeczoznawcy w sprawie górnośląskiej dokładniej rozpatrzeć się w sytuacyi co może wyjść tylko na naszą korzyść.

Tak jak dziś rzeczy stoją, zanosi się na to, że, o ile to dotyczy Górnego Śląska, będziemy mogli powiedzieć o sobie: „wśród serdecznych przyjaciół psy zająca zjadły"...

Daleko szczęśliwiej wyszła ze swych opałów Irlandya. Lloyd George, który, zdawało się, miał na swojem postawić i nie spocznie, dopóki bodaj jeden Irlandczyk będzie chodził po świecie, musiał cofnąć się na całej linii, wdać się z sinfeinistami w rokowania i zamiast dyktować swoje warunki, przyjąć te, jakie oni mu postawili. Ale za Irlandyą miał się kto ująć, my natomiast takiego przyjaciela lub opiekuna nie posiadamy, a każdy z tych, którzy oświadczają się nam z przyjaźnią, myśli tylko o tem, aby sam zrobił jak najlepszy interes. Polityka irlandzka Lloyda George'a zrobiła zatem zupełne fiasko i nie nie ulega kwestyi, że, aby ratować swą reputacyę, będzie się starał przeforsować sprawę górnośląską po swojej myśli, to jest po linii interesów niemieckich. Francya wprawdzie występuje przeciw zamiarom angielskiego premiera, nie można jednak tego przewidzieć, czy tak zwana racya stanu nie zmusi ją w ostatniej chwili do poparcia Lloyda George'a, co równałoby się odprawieniu nas z kwitkiem.

Czekajmy zatem cierpliwie, a w tej cnocie jesteśmy chyba dość wyćwiczeni, a może przecież doczekamy się uwzględnienia naszych słusznych praw i poszanowania postanowień traktatu wersalskiego przez jego twórców. Jeśli się stanie inaczej, powiemy sobie, że to nie pierwszy zawód i nie ostatni, bo mamy jeszcze dwa twarde orzechy do zgryzienia, to jest sprawę Wilna i byłej Galicyi Wschodniej. Obiema interesuje się bardzo żywo nasz przyjaciel, pan Lloyd George, możemy się zatem cieszyć już zawczasu nadzieją, że dołoży wszelkich starań, abyśmy na nich tak wyszli, jak Zabłocki na mydle. Będziemy mieli wprawdzie Polskę małą, ale zato bez mniejszości narodowych, co uwolni nas na przyszłość od różnych kłopotów i nieprzyjemności, a o to głównie rozchodzi się naszemu angielskiemu przyjacielowi i protektorowi.

Sprawa górnośląska, której pomyślne dla nas rozwiązanie tak nas przed kilku miesiącami cieszyło, jak to wyraził naczelny mowcy u stóp pomnika grunwaldzkiego po nadejściu pierwszych wiadomości o wyniku plebiscytu na Śląsku, może zatem sprawić i niezawodnie sprawi wiele jeszcze kłopotu nie tylko nam, ale wogóle całemu światu i stać się zarzewiem nowych zawikłań i nieporozumień, a kto wie, czy i nie nowego starcia zbrojnego. Stanowisko Anglii jest tego rodzaju, że na wszystko najgorsze trzeba być przygotowanym. Anglia, bojąc się o swoją własną skórę, nie pragnie bynajmniej silnej Polski, która wspólnie z Francyą stanowiłaby dla jej interesów na kontynencie groźną przeciwwagę. I dlatego to Lloyd George tak skwapliwie uwolnił się od grożącej mu zmory irlandzkiej, aby tutaj móc działać swobodnie. Dawny antagonizm francusko-angielski nie wygasł bynajmniej, żarzy się pod warstwą popiołu i czeka tylko sposobności, aby wybuchnąć. W tym celu zrezygnował też Lloyd George z całkowitego pognębienia Niemiec, o czem na początku wojny tak głośno mówił, gdyż rozchodzi się tutaj o jego własną skórę, to jest o interes, a na tym punkcie jest każdy Anglik bardzo drażliwy.





Pogrzeb majora Montalégre: 1) Orszak pogrzebowy wchodzący do kościoła św. Trójcy. 2) Po nabożeństwie żałobnem składają żołnierze francuscy trumnę ze zwłokami na lawecie armatniej.

Znowu wybuch na Górn. Śląsku.

(Do illustracyi na str. 3 i 4).

Jeszcze nie miano czasu odetchnąć po katastrofie rybnickiej, o której donosiliśmy w poprzednim numerze, gdy oto znów miejscowość Krywałd stała się widownią tajemniczej eksplozyi w tamtejszej fabryce prochu.

Katastrofa ta, mająca daleko groźniejsze następstwa, niż poprzednia w Rybniku, pociągnęła za sobą utratę życia kilkunastu osób, a straty materyalne, przez nią spowodowane, idą w miliony.

Jeden z naocznych świadków wybuchu opisuje go w następujący sposób:

Wybuch nastąpił 25 lipca około 11-tej przed południem. Odgłos detonacyi rozlegał się przez długi czas szeroko po okolicy. Sam Krywałd zamienił się w tym czasie w olbrzymią, czarną chmurę, z której wystrzelał potężny słup ognisty, a która rozsiewała części żelaza, drzewa, kamienie itp. Stwierdzono dotychczas, że ofiarą tej niezmiernej katastrofy padło 18 zabitych i 25 częściowo bardzo ciężko rannych. Szkody materyalne są również ogromne. Same budynki fabryczne i sąsiednie domy są zupełnie zburzone, zamienione w kupę gruzów. O sile wybuchu świadczy pobliska strona lasu. Nacisk niezmierny połamał tam drzewa jak słomki.

Na szczęście w krytycznej chwili pracowało tylko około pięćdziesiąt osób, podczas gdy ogólna liczba robotników, zatrudnionych w tamtejszej fabryce, wynosi pięćset osób.

Ogniskiem eksplozyi był oddział wyrobów lygnozytu fabryki prochu w Krywałdzie. Sama miejscowość przedstawia obraz niezmiernie smutny i przygnębiający. Miejsce, w którem leżał proch, jest mniejwięcej 6 m. głęboko zryte. Oddział wyrobów lygnozytu znikł zupełnie z powierzchni ziemi. Kamienie, drzewo i części żelazne, nawet o niezmiernym ciężarze, zostały wskutek siły wybuchowej o kilkaset metrów odrzucone. Domy, stojące w pobliżu, są zamienione w jedną kupę gruzów. Drzewa przylegającego lasu są dosłownie połamane jak słomki i to aż do odległości 50 metrów. Strata materyalna fabryki prochu, jako też przylegających posiadłości jest nadzwyczaj wielka, bo prawie każdy poszczególny budynek w Krywałdzie jest zniszczony. Całych okien prawie zupełnie nie widać. Ramy są dosłownie z domów powyrywane, ściany popękane, a meble porozrzucane. Takim jest stan rzeczy w Kuznowie, a przedewszystkiem w Szygłowicach. Z bliższych okolic ucierpiały Szygłowice najwięcej. Z nowowybudowanego zakładu elektrycznego fabryki prochu, który przedstawiał wielką wartość, pozostała tylko ruina. Krótko powiedziawszy, tworzy cały obszar miejsca katastrofy rodzaj głębokiego rowu, a cała okolica w obwodzie 2.000 m. kupę gruzów.

Niektóre trupy leżą jeszcze pod gruzami, podczas gdy inne są zupełnie porozrywane i o kilkaset metrów porozrzucane. Między innymi znalazł śmierć kierownik oddziału wyrobów lygnozytu, chemik dr. Pondorf.

Przyczyny wybuchu tłómaczy się w rozmaity sposób. I tak np. jedni twierdzą, że dr. Pondorf urządzał eksperymenty z nowymi materyałami wybuchowymi i że jego nieostrożność spowodowała eksplozyę. Z drugiej strony mówi się, że proch zapalił się sam. Znowu inni utrzymują, że straszna katastrofa jest zamachem, jak wówczas na dworcu w Rybniku. Jedno z tych trzech przypuszczeń będzie zgadzało się z prawdą. Co do podejrzenia, że katastrofa jest następstwem zbrodniczego zamachu, dodać można, że krótko po katastrofie przyaresztowano kilka podejrzanych osób i zaprowadzono je do Czuchowa. Aresztanci są to byli członkowie Selbstschutzu.

Tragedya krywałdzka jest boleśniejszą dla każdego z nas, iż jej ofiary to prawie wszyscy Polacy. Rano nie przeczuwając nieszczęścia, podążyli ochoczo do pracy, aby przy niej zginąć, jak żołnierze na posterunku. Jęk matek i żon, płacz dzieci rozdzierał poprostu serce. Biedacy ci łudzili się jeszcze nadzieją, że może z pod gruzów uda się wydobyć członków ich rodzin, którzy może cudem ocaleli, a których odszukać nie było można, gdyż wybuch rozdarł w strzępy ich ciała, a szczątki rozrzucił dokoła.

„Gazeta Rybnicka“, podając opis wypadku, kończy go słowami:

„Zdaje się, jakoby ludowi śląskiemu było przeznaczonem wychylić kielich goryczy do dna. Los ludu górnośląskiego jest losem krwi i łez i jeżeli rzeczywiście nieszczęście duszę ludzką uszlachetnia, to lud nasz musi się stać wielkim i dumnym“.



Tydzień morski we Francyi: Prezydent Millerand na pokładzie *l'Amiral Sénès* podczas parady flotowej w Hawrze.



Z martyrologii ludu górnośląskiego: Komisya koalicyjna w drodze z dworca kolejowego do obozu uchodźców w Goczałkowicach.



Z martyrologii ludu górnośląskiego. Komisya koalicyjna podczas zwiedzania obozu dla uchodźców w Goczałkowicach. Jenerał Le Rond, jenerał de Marinis i sir Stuart w rozmowie z członkami Zarządu obozu X. Długoszem i p. Tworzem.

Pogrzeb majora Montalègre.

(Do illustracyi na str. 4 i 9).

W dniu 7. lipca b. r. odbył się w Bytomiu z nadzwyczajną okazałością pogrzeb zamordowanego przez Niemców w zdradziecki sposób w dniu 4 lipca, francuskiego majora Montalègre, komendanta 27. batalionu strzelców alpejskich.

Szczegóły zamachu są dobrze znane. Do przechodzącego ulicą w okolicy dworca kolejowego w towarzystwie innych oficerów podeszło znienacka jakieś indywiduum, błyskawicznym ruchem zmierzyło doń z rewolweru i celnym strzałem w głowę położyło go trupem na miejscu.

W pogrzebie zamordowanego wzięły udział gremialny władze alianckie i plebiscytowe, wojska okupacyjne oraz około siedm tysięcy licząca delegacya ludności polskiej, przybyła z wieńcami, aby oddać cześć ofierze pruskiego barbarzyństwa. Trumnę ze zwłokami złożono na lawecie armatniej, zaprzężonej w trzy pary koni i wśród szpalerów wojsk angielskich, otoczoną delegacyami i 27. batalionem strzelców alpejskich w uroczystym kondukcie przewieziono do kościoła świętej Trójcy. Pochód żałobny zatrzymał się na rynku bytomskim, gdzie mowę wypowiedział francuski jenerał de Brantès, komendant wojsk francuskich na Górnym Śląsku.

Przed kościołem czekało na orszak grono obywatelstwa polskiego, a mianowicie wszyscy ci, którzy żyli w bliższych stosunkach ze zmarłym. Oprócz wojskowych tylko niewielu z cywilnej ludności było w kościele. Kilkadziesiąt kobiet polskich i gospodarzy naszych w swych strojach przyczyniło się do uroznaicenia tego niezwykłego w kościele na Górnym Śląsku obrazu.

Kościół tonął w zieleni. Miejscowe duchowieństwo asystowało przy nabożeństwie, w czasie którego orkiestra wojskowa grała pieśni żałobne. Podczas podniesienia trębacze wygrywali uroczyste hejnały. Francuski proboszcz polowy wygłosił przemówienie żałobne.

W kościele byli obecni członkowie Komisyi międzysojuszniczej z Opola, 10 generałów, około 40 pułkowników i wielu oficerów niższych rang.

Po nabożeństwie ruszył orszak na plac Bulwarowy, na którym w pobliżu ulicy Dworcowej ustawiono lawetę z trumną, obok niej żołnierzy francuskich i deputacyę polską z wieńcami. Naprzeciwko stanęła kapela wojskowa, a wojsko oddało zmarłemu honory wojskowe. Kondukt ruszył dalej w kierunku dworca, ale musiał się zatrzymać, gdyż tłumy polskiej ludności z dwiema kapelami i Sokoli przybyli ulicą Piekarską i Ogrodową.

Na obecnych Francuzów i Anglików największe wrażenie wywarły trzy wieńce, jakie darowały okoliczne wioski polskie. Nieśli je żołnierze francuscy. Wieńce te składały się z kłosów żyta, a przystrojone były kwiatami maku i bławatku. Dwa duże wieńce od ludności polskiej z Bytomia z białych i czerwonych róż leżały na trumnie; na wstędze o barwach polskich był napis: „Polacy w Bytomiu bohaterowi francuskiemu“.

Kondukt wrócił na ulicę Miechowicką, gdzie przed parkiem załadowano trumnę do automobilu polowego i odwieziono szczątki zmarłego do jego ojczyzny.

Major Montalègre brał od początku wybuchu wojny światowej, która zastała go kapitanem, bardzo wybitny udział na rozmaitych odcinkach, nad Marną, pod Verdun i w wielu innych miejscach, zdobywając sobie za swe nieustraszone męstwo krzyż kawalerski, a następnie oficerski Legii honorowej i szlify majorskie.

Gdy front angielski jest przełamany w końcu marca 1918. nadbiega ze swoim batalionem i zatrzymuje nieprzyjaciela pod Montdidier. „Batalion 49-ty strzelców, powiada jedna z sześciu czy siedmiu wzmianek o nim w rozkazach dziennych, pod gorącem parciem swego dowódcy Montalègre, złożył dowody, w ciężkich dniach 29 do 31 marca 1918 stoickiej odwagi. Szczególnie 30 marca przyczynił się znacznie w opanowaniu ofenzywy niemieckiej poświęcając się bez granic swemu zaszczytnemu zadaniu, odpierając przez jedenaście godzin w jednym ciągu siedem ataków nieprzyjacielskich, prowadzonych przeważającemi siłami. W tych wzmiankach jest mowa o nadzwyczajnym duchu jego dowódcy, wesołym, odważnym, pełnym rozpędu, który mimowoli udzielał się jego ludziom.



Z martyrologii ludu górnośląskiego: Jenerał Le Rond w rozmowie z uchodźcami w obozie w Goczałkowicach.

Tydzień morski we Francyi.

(Do illustracyi na str. 9).

W chwili, gdy cały świat zajmuje się kwestyą ułożenia się na przyszłość światowych stosunków, zmienionych zupełnie skutkiem wojny, urządzono we Francyi w dniach od 20 do 27 lipca b. r. staraniem Związku morskiego „Wielki tydzień morski“, będący także pewnego rodzaju manifestacyą polityczną. Flota francuska, aczkolwiek nie dorównuje angielskiej lub amerykańskiej, jest przecież bardzo potężną, wykazał to właśnie ów tydzień morski, będący niejako odpowiedzią na angielskie umizgi, skierowane raz w stronę Japonii, drugi raz w stronę Stanów Zjednoczonych. Francya pokazała swoim sąsiadom z poza Kanału, że i ona nie powstydzi się swojej floty.

W tej manifestacyi, uważanej jako pewnego rodzaju święto sportowe, połączonej z regatami i innymi popisami, wziął udział prezydent Republiki Millerand, który przybył do Hawru wraz z mini-



Przybycie poselstwa rosyjskiego do Warszawy: Powitanie ambasadora Karachana na dworcu kolejowym warszawskim. Od lewej ku prawej stoją: Ofin Nikiticz, Ignatow prezes del. repatr., Lubomirski — zast. protok. M. S. Z., Lew Michajłowicz Karachan amb. sow., Jan Leopoldowicz Lorentz 1-szy sekr. amb. sow.

Aj. fot. Maryan Fuks, Warszawa.

strem marynarki Guist-hauem i innymi dygnitarzami, co dodało uroczystości jeszcze więcej blasku. Od czasu wojny światowej popisy te urządzono po raz pierwszy, odbywają się one równocześnie w Hawrze, Rouen, Dieppe, w Trouville-Deauville, Honfleur, łącząc się z tradycyonalnemi regatami międzynarodowemi, urządzanemi przedtem corocznie w porcie hawrskim. Przy tej okazyi wygłosił prezydent Millerand przemowę, nie pozbawioną pewnych aluzyi politycznych.

Podróż prezydenta Milleranda trwała trzy dni.

Punktem kulminacyjnym uroczystości był dzień 25 lipca, w którym odbyła się w Hawrze wielka



Z martyrologii ludu górnośląskiego: Zlinchowany przez wzburzonych uchodźców niemiecki prowokator, mający na sumieniu życie dwunastu Polaków.

parada morska. Wzięło w niej udział czterdzieści ośm okrętów wojennych francuskich i mocarstw sprzymierzonych, między nimi brytyjski „Dauntless" i amerykański „Pittsburg". Paradzie przyglądał się prezydent Millerand z pokładu krążownika „l'Amiral Sénès", dawnego okrętu niemieckiego, obecnie należącego do Francyi. Po paradzie odbył się w porcie podwieczorek dla zaproszonych gości. Ponadto odwiedził prezydent Quillebeuf i Rouen, witany wszędzie przez ludność z należnymi honorami.

W dniu 26 lipca o godzinie 11 okręt prezydenta z eskortą opuścił Hawr wśród oklasków zgromadzonej publiki. W Quillebeuf oczekiwały prezydenta dziewczęta wiejskie, które przybyły na powitanie w pięknych narodowych kostyumach. Przywiozły one ze sobą podarunki w postaci osełek masła, koszy śliwek, wódki, snopków zboża, wiązanek kwiatów. Bardzo malowniczo przedstawiał się ich pochód, gdy na swych osiołkach przeciągały przed trybuną, na której zajął miejsce prezydent w otoczeniu swojego orszaku.

Z martyrologii ludu górnośląskiego.

W chwili, gdy w Paryżu rozstrzygają się losy Górnego Śląska, uważamy za swój obowiązek piętnowanie ohydnych faktów pruskiego barbarzyństwa, przynoszących ujmę cywilizacyi i świadczących aż nazbyt dowodnie, że ci, którzy je spełniają, z kulturą nie mają nic wspólnego, choć szczycą się tem, że są pionierami, niosącymi ją między „barbarzyńskie narody Wschodu".

Jak wygląda ta kultura w pojęciu niemieckich hakatystów, widzi to dobrze każdy, kto bacznie śledzi wypadki na Górnym Śląsku, nie mogą tego dojrzeć ci, którzy są do tego powołani. Los Górnoślązaków, zamieszkałych na obszarze, mającym bezsprzecznie przypaść Niemcom, jest pożałowania godny. Znajdując się tam w mniejszości, narażeni są na każdym kroku na szykany i prześladowanie ze strony brutalnych Prusaków. Opuszczają też swe miejsca rodzinne, pozostawiając swe mienie na łaskę losu, by tylko uwolnić się z tego piekła. Twarda dusza Górnoślązaka nie da się zniepráwić kuszącym podszeptom i nie wyrzeknie się swych ideałów narodowych, choć jej za to obiecują ponętne materyalne korzyści. Gromadnie uciekają też na prawy brzeg Odry i tu szukają przytułku w obozach dla uchodźców, byle tylko być daleko od knuta pruskiego junkra lub fabrykanta. W obozach tych przebywają tysiące nieszczęsnych uchodźców, cierpiąc biedę i nie znajdując tutaj nawet spokoju, gdy i między nich uda je się nieraz wkręcić hakatystycznemu wysłannikowi, który w nadziei dobrej zapłaty zdecydowany jest do spełnienia najohydniejszej zbrodni, byle szerzyć teror i wywołać dezorganizacyę.

W obozie w Goczałkowicach, gdzie znalazło pomieszczenie kilka tysięcy uchodźców z lewego brzegu Odry, przychwycono niedawno kilka podobnych indywiduów, należących do tak zwanego „Mordkommando". Jeden z nich, najzwyklejszy opryszek, specyalnie w tym celu wypuszczony z więzienia, szerzył postrach w szeregach tamtejszych uchodźców, a jak sam zeznał, ofiarą jego padło dotąd już dwunastu Polaków. Tego łotra spotkał los zasłużony. Poznany przez uchodźców, a przyłapany na gorącym uczynku, gdy usiłował szerzyć w obozie dzieło zniszczenia, został przez nich zlinchowany. Kilku jego kompanów, których również ujęto, wyszło szczęśliwiej, dostali się przecież w ręce sprawiedliwości i prawdopodobnie poniosą zasłużoną karę, w przyszłości czeka ich przecież nagroda, gdyż Niemcy swych wysłanników i prowokatorów ubezpieczają wysoko.

Nie lepiej dzieje się na terenie plebiscytowym, gdzie większość jest polska. I tutaj rozciągnięto całą sieć rozmaitego rodzaju organizacyi niemieckich, mających za zadanie szerzyć postrach między ludnością i przedstawiać jej, co ją czeka po przyłączeniu do Polski. Roi się więc wszędzie od członków rozmaitych związków, jak: Orgesch, Selbstschutz itd., zorganizowanych należycie i zaopatrywanych hojnie w marki, płynące z całych Niemiec. W kopalniach i zakładach przemysłowych zatrudnione są całe oddziały rzekomych robotników, przygotowanych każdej chwili do uderzenia na Polaków, tajne magazyny przepełnione są bronią i amunicyą. Każdy z nich, to wróg zaciekły wszystkiego co polskie, zdecydowany na wszystko, byle bronić niemieckości Górnego Śląska, a wiedzący o tem, że na wypadek zranienia otrzyma od towarzystwa ubezpieczeń premię w wysokości 10 tysięcy marek, w razie zaś jego śmierci, rodzina hojne zaopatrzenie. Z dokumentów, zdobytych przez Polaków, wynika jasno, jak Niemcy przygotowani są należycie i jak silną jest ich organizacya, kierowana przez komendy, rozrzucone po całem terytoryum Górnego Śląska.

Komisya koalicyjna, mająca swą stałą siedzibę w Opolu, nie spełnia należycie swych obowiązków. Przedstawiciel Francyi, zarazem jej przewodniczący, jenerał Le Rond, przestrzega wprawdzie ściśle bezstronności tak wobec Polaków, jak i Niemców, dwaj jego koledzy natomiast, delegat włoski jenerał de Marinis i angielski sir H. Stuart, występują jawnie z swemi niemieckiemi sympatyami. Komisya ta zwiedzała niedawno temu obóz dla uchodźców w Goczałkowicach, informowała się na miejscu o ich losie, do jego poprawy bynajmniej się to przecież nie przyczyniło. Jak przedtem, tak i obecnie narażeni są na szykany ze strony Niemców, pewnych poparcia ze strony Anglii i Włoch.

Przybycie poselstwa rosyjskiego do Warszawy.

(Do illustracyi na str. 10).

W dniu 3 sierpnia b. r. przybyło do Warszawy oficyalne przedstawicielstwo Rosyi sowieckiej pod przewodnictwem posła Karachana. Przyjazd nastąpił osobnym pociągiem, złożonym z wagonów sypialnych oraz pierwszej i drugiej klasy. Przybyłych powitali na dworcu przedstawiciele ministerstwa spraw zagranicznych pp. Szumlakowski i Lubomirski, poczem personal poselstwa udał się w samochodach, ozdobionych czerwonemi chorągiewkami do hotelu Rzymskiego, przeznaczonego na jego pomieszczenie. W skład poselstwa wchodzi około sześćdziesiąt osób, przeważają kobiety, między niemi zaś żydówki.

Ciekawe są uwagi jakie z okazyi przybycia Karachana zamieszcza warszawski żargonowy „*Hajnt*". Pisze on między innemi, iż publiczność nie objawiała bynajmniej czerwonym gościom sympatyi, a widząc na samochodzie czerwone chorągiewki, wielu mówiło: „Te cholery. Oni to sprowadzają głód i rewolucyę. Byłoby lepiej, ażeby ich powieszono. Ale rząd nasz na to nie pozwala!"

Autor tego artykułu żargonowego rozpoznał wśród przybyłych sekretarza Leszczyńskiego, który był członkiem delegacyi pokojowej w Rydze i rozpoznał również sekretarza Lorentza, który jest synem fabrykanta żydowskiego z Łodzi, a zatem Polakiem, który jako taki nie może być członkiem misyi cudzoziemskiej w Polsce. Ten brak taktu należy jednak do manier bolszewickich.

Zresztą połowa personalu bolszewickiego mówi po polsku i — jak to twierdzi redaktor „Hajnta" — najwięcej widzi się tam twarzy żydowskich. Licznemi są wśród dostojników poselstwa bolszewickiego osoby, mówiące żargonem. Autor zapewnia, że publiczność była uderzona semityzmem bolszewickich ambasadorów i zaznacza, że policya warszawska spełniła swoją misyę z elegancyą i taktem.

Skład misyi bolszewickiej twierdzi znowu „Journal de Pologne" — każe się obawiać, że misya ta będzie daleką od ograniczenia swej działalności do oficyalnych stosunków dyplomatycznych i że będzie prowadziła gorącą propagandę w Polsce.

Ale władze polskie są pod tym względem przestrzeżone...

Konkurs piękności dzieci.

Urządzanie rozmaitego rodzaju konkursów piękności stanowi zazwyczaj jedną z atrakcyi dla gości w światowych miejscach kąpielowych. Zwłaszcza we Francyi konkursy te są w modzie. Niespełna rok temu rozpisywały się szeroko i długo tamtejsze pisma o konkursie, do którego stanęło czterdzieści dziewięć najpiękniejszych kobiet Francyi. Rozstrzygnąć miał go plebiscyt na podstawie zdjęć kinematograficznych.

Obecnie przyszła kolej na najpiękniejsze dziecko we Francyi. Konkurs ten urządził paryski dziennik *Le Matin* przy pomocy swych czytelników, którzy też mieli wydać swe zdanie, komu przyznać nagrodę. Ogół dzieci francuskich podzielono na dwie grupy, jedna do lat trzech, drugą od trzech do pięciu, a na każdą z nich przypadła jedna nagroda w kwocie dziesięć tysięcy franków.

O ile konkursy piękności dla starszych są tylko zabawką i przyczyniają się do wzmożenia w ubiegających się o nagrodę uczucia próżności, o tyle konkurs taki urządzony dla dzieci, ma racyę bytu, osiągnięta bowiem nagroda może ułatwić niezamożnym rodzicom należyte wykształcenie swego dziecka.

Do paryskiego konkursu stanęło sporo dzieci ze wszystkich okolic Francyi. Jury konkursowe z każdej z obu grup wyżej wymienionych wybrało po siedm kandydatów i kandydatek, z pomiędzy których czytelnicy *Matina* mieli wybrać laureatów. Odbyło się to w końcu ubiegłego miesiąca w obszernej sali Ogrodu aklimatyzacyjnego w Paryżu, gdzie zebrali się ubiegający się o nagrodę w towarzystwie rodziców, babek, cioć i niańek. Udział głosujących był bardzo liczny, każdy z przyjemnością przyglądał się sympatycznym „bobom", nie zdającym sobie z tego sprawy dlaczego są powodem takiego zainteresowania.



Konkurs piękności dzieci: Laureaci konkursu, urządzonego przez paryski *Matin*.

Zwycięzcami zostali: Claude Albert, trzydziestomiesięczny bobak z północnych okolic Francyi, z drugiej grupy France Guiraud z południowo-wschodnich okolic. Laureatów chłopczyka i dziewczynkę, odfotografowano i kto wie, czy kiedy, po latach, nie znajdą się znów na wspólnej fotografii, tym razem w strojach weselnych.

Od Redakcyi.

Zwracamy uwagę PT. Czytelników, że jedynie ci są uprawnieni do ubiegania się o nagrody, którzy nadeślą rozwiązania wszystkich zagadek.

Zagadki do nagrody.

Grzebieniówka.

Ułożył F. Górski, Sandomierz.

Kwadraty i kreski zastąpić odpowiedniemi literami, aby w pionowych szeregach powstały wyrazy o podanem znaczeniu. Rząd poziomy utworzy pierwszą literę imienia i nazwisko polskiego bohatera:

■ ■ ■ ■ ■ ■ ■ ■ ■ ■ ■ ■
— — — — — —
— — — — — —
— — — — — —

Znaczenie wyrazów: 1. Strój rzymski, 2. Jeden z kalifów, 3. Znany matel, 4. Pasmo gór w Rosyi, 5. Francuski powieściopisarz, 6. Szlachetny kamień.

Logogryf.

Ułożył Głodomór z Krakowa.

Kwadraty i kreski zastąpić literami, aby powstały wyrazy o podanem znaczeniu. Rząd pierwszy i ostatni czytany z góry na dół, poda nazwiska dwu zasłużonych ludzi, którzy w ostatnich czasach zmarli prawie z głodu, zapomniani przez społeczeństwo polskie:

■ — ■
■ — ■
■ — ■
■ — — ■
■ — — — ■
■ — — ■
■ — ■
■ — — ■
■ — ■

Znaczenie wyrazów: 1. Dopływ Wisły, 2. Znany Japończyk, 3. Popularny minerał. 4. Inaczej miecz. 5. Postać z „Quo vadis“, 6. Postać z dziejów angielskich, 7. Powieściopisarz francuski, 8. Sędzia tureckl, 9. Dopływ Dunaju.

Zgłoskówka.

Ułożyła W. Nowotarska, Kęty.

Z każdego tytułu wyjąć jedną zgłoskę i ułożyć z nich znane polskie przysłowie:

Zamek w Karpatach.
Stara baśń.
W starym dworze.
Berek zapieczętowany.
W słońcu.
Komedya z pomyłek.
Asan.
Dyabeł.
Mazepa.
Lirenka.

Zadanie do uzupełnienia.

Ułożyła Marylka, Pacanów.

Uzupełnić podane wyrazy. Litery, wstawione w miejsce kresek, czytane z góry na dół, utworzą nazwisko osobistości, o której się dziś wiele słyszy i czyta:

— ama
— zaw
— ora
— pis
— ena
— ari
— tom
— oła
— ola
— gat

Okienko.

Ułożył M. Lasocki, Warszawa.

Z podanych liter ułożyć trzy wyrazy równobrzmiące w kierunku pionowym i poziomym:

a a a a a
a d d
d d e e m
n n r
r s u u w

Znaczenie wyrazów: 1. Postać z mitycznych dziejów polskich 2. Jedna z miejscowości pamiętnych z czasów ostatniej wojny, 3. Nieodzowna część każdego listu.

Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznacza Redakcya do rozlosowania dwie nagrody: 1) S. Żyżkowskiego „Jedna noc“ (zbiór nowel), 2) Kalendarz familijny.

Rozwiązanie zagadek z Nru 31

Zadanie do uzupełnienia: Pora, rola, Zola, Ezop, Soła, Imam, Lena, Ezaw, noga, Iran, epir.

Kwadrat magiczny: Lena, Ezop. Novi Apis.

Zagadka literacka: Mohort. Emancypantki, Dziady, Asan, Ramoty i ramotki Damy i huzary.

Rebus: Pokutuje często dziecko za rodziców winy.

Dobre rozwiązania nadesłali pp.: M. Żak Kraków, E. Darowska Warszawa, M. Więckowski Warszawa, H. Galińska Tarnów, J. Martynowicz Lwów, J. Orzechowski Stryj, J. Wierzbicki Piotrków, M. Michalczyk Poznań, S. Kowalski Warszawa, W. Rozwadowski Kraków, H. Walewska Jasło, B. Szypulska Wieliczka, A. Wróbel Tarnopol J. Cześnikiewicz Kraków, K. Mańkowska Warszawa, Z. Trembecki Kalisz, K. Dębicki Sambor, S. Marzec Krasne, M. Drohocki Warszawa, M. Woźniakowski Warszawa, W. Lange Toruń, J. Kalinowski Poznań, S Sygowska Rzeszów, P. Batowski Tarnów, W. Zubicka Warszawa, M. Jasińska Lwów, M. Planecka Kraków. H. Malinowski Warszawa, J. Walczewska Lwów, M. Kubicówna Kraków, S. Zakrzewski Sandomierz, H. Boratyńska Poznań, W. Nowotarska Kęty, S. Grabowski Wadowice, S. Sokołowski Lwów, J. Sadowski Kraków, T. Cisowski Zakopane, K. Radziszewski Warszawa, K. Cegielski Wadowice, K. Zborowski Stanisławów, H. Balicka Biała. W. Śmieszek Lublin, F. Gostyńska Kielce, W. Kulesza Warszawa, H. Więkowska Radom, O. Niedziałkowska Kraków. Dtwo Pociągu Sanitarnego No 33, W. Komperdowa Lwow.

Nagrody przez losowanie otrzymali: 1) M. Żak, Kraków (powieść); 2) H. Więckowska, Radom (album). — Upraszamy o nadesłanie należytości na koszta poleconej przesyłki nagrody w kwocie 6 marek.

Właściciele i wydawcy: Spadkobiercy St. Lipińskiego Odpow. redaktor: Julian Bartoszewicz. Klisze własnego zakładu. Drukarnia D. E. Friedleina pod zarz. St. Kowalskiego.